№ 35. Warszawa, dnia 17 (29) Sierpnia 1885 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

(Dalszy ciąg.)

Po krótkim pobycie u macochy, a potem u stryja, plebana w Wojniczu, gdzie odetchnął życiem rodzinnem, znalazłszy tam całe grono ubogich krewnych, Kazimierz wsparty zasiłkiem powrócił do Tarnowa. Wieść o tryumfach napoleońskich, o utworzeniu księztwa warszawskiego, napełnia go niewymowną radością; pragnie lotem ptaka dostać się do Warszawy, zaciągnąć pod chorągwie. Ale szesnastoletni chłopiec mały i wątły, wygląda jeszcze na dziecko, nie wie jak radzić, brak zasobu na podróż. Czeka więc, kończy nauki w szkole normalnej, pełen zapału opiewa ówczesne wypadki i owczesnych bohaterów. Pisze bez ustanku, tłomaczy wszystko co mu wpadnie pod oko. Między innemi, uderzyły go pieśni wiedeńskiego poety Collina; przekładem ich wplątał się w niemiłą przygodę. Zobaczmy co mówi o tem.

„Poezye Collina, pełne miłości kraju, uczuć ludzkości i pięknych wiejskich obrazów, nadzwyczaj mnie zajęły. Owóż nie wchodząc w to bynajmniej, że je niemiec dla niemców przeciw francuzom pisał, w kilka dni przełożyłym je wierszem na polski język. Wiersze te rozbiegły się po Tarnowie.” Aż oto dnia jednego wzywają tłomacza do okręgowego starosty. Przerażony staje, drżąc jak delikwent przed sądem. Trwoga ucznia wzrasta na widok szkolnego prefekta.

Pokazują mu wiersze, pytają czy on jest ich tłomaczem, obsypują go pochwałami, za uczucia legalne, z których zaszczyt spada na szkołę całą; przyrzekają mu stypendyum w Instytucie Tereziańskim.

Tryumf ten ubódł młodego poetę, o innych marzył on tryumfach, z innej ręki pragnął zaszczytnych wieńców.

Ukończywszy szkołę w Tarnowie, Kazimierz udał się do Krakowa; przez półtora roku słuchał uniwersyteckich wykładów. Poświęcił się wyłącznie naukom filozoficznym i filologii.

Wkrótce, otwiera się przed nim nowe pole. Orły napoleońskie zabłysły nad Dunajem. Książę Józef na czele wojsk polskich wchodzi zwycięzko do Krakowa. Krew kipi w piersi Kazimierza, bez chwili namysłu zaciąga się do pułku artyleryi. Szczęśliwym zbiegiem dostaje się pod komendę kapitana Reklewskiego, jak on rozmiłowanego w poezyi. Wkrótce najściślejsza łączy ich przyjaźń. Wincenty Reklewski, starszy o lat sześć, pełen życia i zapału, to prawdziwy typ rycerza poety. Walczył on pod Raszynem i Sandomierzem, dosłużył się już stopnia kapitana. Jako poeta zwrócił już na siebie uwagę, zbiorem pełnym uczucia pieśni wiejskich. Nie mógł Brodziński lepszego znaleźć przewodnika. W ciągu trzyletniego pokoju, dwaj przyjaciele nie porzucają służby wojskowej. Stojąc z pułkiem naprzód w Krakowie, następnie w twierdzy modlińskiej, pracują wytrwale nad poznaniem skarbów literackich z epoki Zygmuntowskiej, o których szkoły niemieckie nie dały im pojęcia.

Wśród prac i marzeń poetycznych, słyszą nagle odgłos wojennej trąby. Nadszedł rok 1811, Napoleon zbiera ogromne siły, powołuje chmary sprzymierzeńców, rozpoczyna pamiętną w dziejach kampanią rossyjską. Kazimierz pospieszył z Reklewskim i bratem Andrzejem.

Nie będziemy tu opisywali ich pochodu, ani przypominali znanych powszechnie klęsk, które w oka mgnieniu rozsypały ogromną armią i przygniotły olbrzyma Zachodu. Ocalał Kazimierz Brodziński, lecz dwa gromy ugodziły w pierś młodą i wstrząsły nią do gruntu. Stracił razem brata i przyjaciela. Reklewski umarł z ran odniesionych pod Możajskiem, Andrzej skonał w objęciach brata, na śniegach Berezyny!

Skrzepły od zimna, wycieńczony trudami, poeta nasz przez Wilno i Warszawę, dowlókł się do Krakowa. Nie odpoczął tu jednak, uczucie obowiązku, nakazywało mu dotrwać do końca przy chorągwi. Pospieszył pod Lipsk i należał on do tej wiernej garstki, o której wyrzekł bohater rzucając się w wody Elstery: „Bóg mi powierzył honor polaków, Bogu go oddam”.

Ujęty przez prusaków na polu bitwy, wkrótce

potem Brodziński odzyskał wolność. Zamieszkał w ciszy wiejskiej, w domu ciotki. Ztamtąd pisał do Ambrożego Grabowskiego: „Z nowin nie donoś mi nic, bo teraz chcę być ową chryzalidą, a jak przyjdzie czas, całkiem nowo pokazać się przed światem."

Po krótkim wypoczynku pospieszył poeta do Warszawy. Spragniony pracy, postanowił szukać jej wytrwale i oddać się z zapałem przyjętym obowiązkom. Wskazówką mu na przyszłość był ów wiersz, dorywczo przezeń nakreślony, a dziś zamieniony w przysłowie:

Czyń każdy w swym zakresie, co każe Duch Boży
A całość sama się złoży!

Zakresem Brodzińskiego był zawód nauczycielski. W tym kierunku kształcił się w normalnej szkole tarnowskiej, gdzie nauczając młodszą od siebie dziatwę, obznajmił się wcześnie z pedagogią. Nim mógł jednak zdobyć chlubny zawód profesora, nie mając do tego dostatecznych tytułów, musiał oddać się nudnej biurowej pracy. Wyobraźmy sobie poetę-żołnierza, w pełni lat młodzieńczych i zapału, zmuszonego przepisywać na czysto akta w kancelaryi. Trzeba było jednak przebyć ten mozolny nowicyat, w chwilach za to wolnych, skowronek rozwijał skrzydła, śpiewał cudne pieśni, poruszał niemi do głębi serca ziomków, a nieprzestając na tem, pracował z niezmordowaną gorliwością nad zbadaniem dziejów i literatury narodowej. Rozprawy jego drukowane po pismach i przeglądach zwróciły uwagę światłych Pijarów. Uczony rektor konwiktu Żoliborskiego, ksiądz Kamiński, wezwał go na profesora języka i literatury polskiej, w r. 1818. Obowiązki te pełnił przez lat cztery. W tymże czasie wykładał literaturę w wojewódzkiej szkole pijarskiej, a poezyą i wymowę w duchownem seminaryum tegoż zgromadzenia. Jak chlubnie wywiązał się z obowiązków, świadczy to, że w roku 1821, komisya oświecenia publicznego, powołała go na profesora literatury w Liceum, a nieco później, ofiarowała mu katedrę historyi literatury polskiej w uniwersytecie warszawskim. Nie było tu dotąd osobnego wykładu literatury naszej, istniała tylko katedra powszechnej literatury, do której włączoną była i polska. Wykładał z niej Alojzy Osiński, wymowny orator, ale przesiąkły na wskroś francuzkim klasycyzmem.

Niezmordowany w pracy, Brodziński, oprócz obowiązków profesorskich, spełniał inne jeszcze, z godną podziwienia gorliwością. Jako sekretarz dyrekcyi teatru narodowego, czuwał nad wyborem dzieł dramatycznych, zasilał scenę przekładami wierszem *Templaryuszów*, Renonarda, *Abufara*, Ducisa, że pominiemy tyle innych. Mianowany członkiem Towarzystwa Przyjaciół nauk w roku 1820, skrzętnie podzielał z niem prace naukowe, co więcej, z profesorem Bentkowskim zajmował się redakcyą Pamiętnika warszawskiego, wzbogacał go mnóstwem utworów poetycznych i literackich. Jakim sposobem człowiek wątłego zdrowia, mógł sprostać tylu rozmaitym pracom, tę zagadkę wytłomaczy tylko gorąca miłość kraju, nieustraszona niczem, gotowa do ofiar, wydobywająca z siebie wielkie siły, w miarę wielkich zamiarów.

Tem uczuciem ożywiony profesor, umiał w wykładach swoich dobywać z literatury żywe zdroje szczeropolskich natchnień, zaklęte w utworach pisarzy złotego wieku Zygmuntów. Uderzała go w nich przedewszystkiem, harmonijna spójnia między czynem a słowem i tę wskazywał bezustanku. „Uczeni nasi, rzekł on z katedry, byli czynnymi obywatelami i chrześcianami. U nas w wieku XVI nie oddzielano pieśni od czynów, jedne z drugich wypływały i wzajem oddziaływały na siebie. Gdzie pisma a czyny są rzeczą odrębną, tam księgi, to mumie bez życia!" Taki idealny typ poety-obywatela, znalazł urzeczywistniony w Janie z Czarnolasu. Brodziński pierwszy, postawił w pełnym blasku, ojca poetów naszych i uczynił go drogim narodowi. Z miłością podnosi jego nieporównaną prostotę; Treny i Psalmy nazywa arcydziełem; w pieśniach jego pod formą klasyczną, zgodną z duchem epoki, słyszy swojski podźwięk liry ludowej. „Poezya Kochanowskiego, mówi on, to nasza Wisła, znakomita od źródła, co wytryska z naszych skał, przepływa najpiękniejsze okolice i pomniki świetności naszej, odbija nasze niebo, spokojna ale mocna, przenosi narodowe bogactwa i w pośród ojczystych brzegów, wpływa cicho do morza."

Któż, pytam, lepiej określił i uczcił Jana z Czarnolasu, niż Brodziński w tych kilku słowach?

W ocenieniu innych pisarzy i poetów, szuka również, tej harmonii między słowem a życiem, w Fryczu Modrzewskim podnosi obrońcę uciśnionego ludu włościańskiego. Do serca trafia mu sielska prostota Szymonowicza i Zimorowicza, którzy z pieśni ludu zbierają barwy, jak pszczoły miód ze swojskich kwiatów. Potępia późniejszy panegiryzm; wstrętne mu cyniczne utwory Węgierskiego; Trembecki mimo całej piękności języka razi go pochlebstwem i schylaniem karku przed siłą. Zachwyca go piękny hymn Krasickiego: *Święta miłości*, ale silniej jeszcze porusza go ta miłość, z jaką twórca pana Podstolego, skreślił idealny typ polskiego obywatela, z jaką dowcipny satyryk i bajkopisarz wytyka wady narodowi. Najwyższem uniesieniem przejmują go hymny Woronicza.

Wykład Brodzińskiego żywy i zajmujący porywał za serca słuchaczów. W drobnych jego rysach malowała się dobroć, błękitne oko wyrażało tęsknotę. Włosy miał jasne, wzrost średni, głowę małą, ramiona podniesione; mówił słabym i cichym głosem, słuchacze też kupili się koło katedry, aby nie stracić ani jednego słowa. Długie czytanie widocznie go męczyło, ale kiedy pod wpływem uniesienia, oczy jego rozpłonęły życiem, gdy słaby rumieniec wybiegł na drobne oblicze, wznosił wtedy prawą rękę do góry i potrząsał nią silnie; znać ta szczupła dłoń, nawykła zarówno do pałasza jak i do pióra. Tak maluje uwielbionego mistrza Kazimierz Woycicki, wówczas uczeń uniwersytetu.

Przy całej prostocie i łagodności, snadno było odczuć w Brodzińskim żołnierza, który widział płomień pochłaniający Moskwę, przetrząsł zaspy śnieżne Berezyny, wytoczył krew pod Lipskiem. W nowym zawodzie wytrwały szermierz pełnił jak dawniej służbę, ze ścisłością i wzorowym porządkiem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DLACZEGO?

Pełno jest na tym świecie miłych niespodzianek,
Co życia jednostajność ubarwiają cudnie,
Jasnym promieniem słońca wdzięczny się poranek,
A burza najstraszniejsza wre w samo południe.

W pączku nierozwiniętym robak gniazdo ściele,
A na niwie cmentarnej kwiat wyrasta bujnie:
Ze śmiechem łza się łączy, ze smutkiem wesele,
Jak wielkiego łańcucha ogniwa i spójnie.

Najczystszą myśl dosięgnie ziemskiej żądzy błoto,
W melodyi najpiękniejszej brzmi nuta fałszywa,
Złe z dobrem się kojarzy, a rozum z głupotą:

Występek maską cnoty zręcznie się pokrywa,
I wieniec mu z wawrzynów wielbiciele plotą,
A cnota zapomniana w nędzy dogorywa.

Emilia.

ZWYCIĘZTWO ŚPIEWACZKI.

Zdarzenie prawdziwe z czasów Napoleona I-go,

PRZEZ

Romulusa Dwuróżyca.

(Dokończenie.)

V.

Kapitan Valabregue postanowił nie opuszczać śpiewaczki, choćby do samego Londynu, a postępowanie pięknej Anieli ze swoim aniołem-stróżem w ciągu całej dalszej podróży, utwierdzało go w tem postanowieniu i podsycało najśmielsze jego nadzieje.

Przybyli razem do Saint-Quentin, a ztamtąd po krótkim wypoczynku, do Valenciennes, na granicy belgijskiej. W owym czasie Belgia należała do królestwa holenderskiego, nad którem panował Ludwik, brat Napoleona: pełno więc było w tym kraju wojska francuzkiego i nikt nie pytał o paszporta podróżujących oficerów francuzkich.

Przez Tournay, Cortryke, Ypern, nasi podróżni przybyli do Ostendy. Tu stanęli w niepokaźnej oberży. Katalani, pod sekretem, prosiła gospodarza o wskazanie jej sposobu przeprawienia się do Anglii. Gospodarz przysłał jej jakiegoś żydka, który pokręcił głową na widok dwóch młodziutkich mniemanych oficerów, a zażądawszy z góry 50 franków za fatygę, przyprowadził wkrótce barczystego i dziko wyglądającego flamandczyka, nazwiskiem Jana van Vlint.

Był to właściciel niewielkiej, ale mocnej i szybkiej barki, która nieraz kursowała po morzu do brzegów angielskich z kontrabandą, lub pasażerami, unikającymi dróg jawnych i rozgrosu. Jan van Vlint żądał dwóch tysięcy franków za przewiezienie zbiegów do Duwru. Spisano umowę, a z zapadnięciem nocy miano wypłynąć. Marynarz twierdził, że musi być ostrożnym, z powodu, że w porcie stała na kotwicy fregata francuzka.

Kapitan Valabregue nie dowierzając Janowi, postanowił nie opuszczać ukochanej. Stanęło na tem, żeby Katalani i Teresina pozostały w swem przebraniu oficerskiem.

O zmroku Jan van Vlint wpadł mocno wzburzony do naszych podróżnych.

— Dowiaduję się — rzekł — iż policya portowa otrzymała właśnie polecenie nie wypuszczać żadnego statku bez rewizyi. Musimy spieszyć się, dopóki urzędnicy nie zabiorą się do tej czynności. Za pół godziny mogłoby już być zapóźno...

— A więc w drogę! — zawołała Katalani.

W kwadrans potem szybka barka Jana van Vlint opuściła Ostendę. Trzej podróżni skryli się do malutkiej kajuty, tłocząc się na twardej ławce. Dzielnemu marynarzowi udało się niepostrzeżenie wyminąć stojącą na kotwicy fregatę francuzką.

Pogoda była prześliczna, noc jasna. Barka szybowała, kołysząc się po szmaragdowych falach morskich.

Kapitan Valabregue wyszedł z kajuty na pokład.

— Wszak jesteśmy już bezpieczni? — zapytał.

— Hm, tak — odmruknął Jan van Vlint — jeżeli nie wpadniemy w ręce jakiego statku kaperskiego...; A pełno tu ich, jak szczupaków w stawie...

Płynęli dalej. Podróż trwała już kilka godzin i wczesny ranek letni zaczynał świtać. Podróżni zdrzemnęli się w kajucie, gdy wtem rozległ się w oddali strzał armatni, a na pokładzie Jan van Vlint i dwaj jego pomocnicy zaczęli tupać i latać jak szaleni.

Kapitan, wyszedłszy na pokład, ujrzał w oddaleniu pół mili morskiej, okręt sporych rozmiarów.

— Co się stało? Co to za okręt? — zapytał Jana.

— Bodajby go licho porwało! — klął marynarz. — To bryg wojenny, czatujący na zdobycz.

— Bryg francuzki? — pytał Valabregue.

— Nie, angielski.

— Czy nie możemy umknąć?

— Ani myśléć o tem — odparł Jan. — Podziurawiłby naszą barkę i zatopił, jak łupinę orzecha. Musimy zatrzymać się i czekać. Patrz pan, oto od brygu odbija łódź i dąży ku nam.

— Czy będą nas rewidowali? — pytał kapitan.

— Niewątpliwie. No, ale chwała Bogu nie mam na statku żadnej kontrabandy, oprócz pasażerów, a to już wasza rzecz wytłomaczyć się i wylegitymować.

Kapitan uwiadomił o zbliżaniu się brygu śpiewaczkę, która wraz z Teresiną wyszła również na pokład.

— Okręt angielski? — zawołała. — Ależ to składa się wybornie! Zupełnie obawiać się nie mamy czego. Co innego, gdyby to był okręt francuzki...

— Tak — potwierdził kapitan — pani obawiać się nie masz czego. Co do mnie — rzekł z uśmiechem — wszystko mi jedno: francuzi schwytaliby mnie, jako dezertera; anglicy schwytają, jako jeńca wojennego.

— O Boże! — krzyknęła przerażona Katalani.

— Pierwsze nawet — ciągnął Valabregue — byłoby może dla mnie lepszem, bo od francuzów prawdopodobnie dostałbym od razu kulką w łeb, anglicy zaś poślą mnie zapewne na pontony...

— Co to są pontony?

— Są to stare nieprzydatne już okręty, nagromadzone w Portsmuth i gdzieindziej, a służące za więzienie. Tam jęczą już od lat wielu jeńcy francuzcy.

Katalani zamyśliła się.

— No, bądź pan spokojny—rzekła po chwili.— Tak źle nie będzie. Spuść się pan na mnie.

Po kilku minutach, do barki przybiła łódka od brygu. Na statek Jana van Vlint wdrapał się porucznik angielski z czterema marynarzami i czterema uzbrojonymi majtkami.

— Hola, co to za statek? — zapytał właściciela.

— Barka Kobeljan z Vliessingen — odparł Jan.

— Zkąd płyniecie?

— Z Ostendy.

— Dokąd?

— Do Duwru.

— Nie macie zabronionych towarów?

— Żadnych.

— Ho, ho! Znam cię, gruby wilku! — zawołał porucznik. — Byłeś już nieraz schwytany na przemycaniu „genewry" (wódki jałowcowej). Pamiętam dobrze, bo służyłem dawniej na statku celnym?

— Nie mam teraz wcale genewry — mówił Jan — z wyjątkiem małej beczułeczki pod pokładem, przeznaczonej dla mego własnego użytku. Wiozę tylko balast i pasażerów.

— Zobaczymy. Kto są ci panowie? — zapytał anglik, wskazując na trzech podróżnych, którzy stali obok siebie, owinięci w płaszcze oficerskie.

— Hm... tego ja sam dobrze nie wiem — odrzekł Jan, drapiąc się za uchem.

— Goddam, to oficerowie francuzcy! — zawołał porucznik.

— Bynajmniej. Dwoje z nich to kobiety.

— Co pleciesz?

— Mówię co wiem — rzekł marynarz, wzruszając ramionami. — Muszą to być jakieś przebrane księżniczki, czy coś podobnego.

Porucznik zbliżył się do pasażerów.

— Osoby noszące mundury francuzkie biorę do niewoli, jako jeńców wojennych — odezwał się po francuzku.

— Ah, miej pan miłosierdzie!'— zawołała śmiejąc się, Katalani.

— Prawa wojenne miłosierdzia nie znają — odparł porucznik. — Kto jesteś, pan czy pani, jeśli mi wolno zapytać.

— Jestem śpiewaczka, Aniela Katalani.

Porucznik cofnął się o dwa kroki.

— Co? Jak? — zawołał. — Czy to być może? Pani jesteś śpiewaczką, o której tyle mówi świat cały?

— We własnej osobie. Czy zawsze bierzesz mnie pan, jako jeńca?

— Bez wątpienia. Poddaj się pani swemu losowi!

— Poddaję się z rezygnacyą, a nawet z przyjemnością, gdyż właśnie pragnę dostać się do Anglii. Zawarłam kontrakt w Londynie na pięć miesięcy.

— No, no! Niesłychane rzeczy! A kto są ci panowie?

— Jeden z tych panów jest moja pokojówka Teresina — odrzekła śmiejąc się śpiewaczka. — Drugi zaś istotnie należy do płci brzydkiej, chociaż brzydkim, jak pan widzisz, wcale nie jest, a nazywa się signor del Canto.

— Co za jeden?

— Jest-to śpiewak z Medyolanu, z którym razem dawaliśmy koncerta w Paryżu.

— Dlaczego państwo przebraliście się w mundury francuzkie.

— Ponieważ Napoleon nie chciał nas wypuścić z Paryża, a przebrani za oficerów, mogliśmy bez paszportów przebyć Belgią i dostać się do Ostendy.

— No, no! — mruczał anglik. — Jak żyję nie słyszałem nic podobnego.

— Czy pan nie wierzysz? — pytała Katalani.— Masz nas może za szpiegów francuzkich?

— O, nie — rzekł porucznik. — Zresztą musicie państwo udać się ze mną na nasz bryg do kapitana Erskine, który rozstrzygnie o waszym losie.

— I owszem, tego tylko pragniemy — odparła śpiewaczka. — Na pańskim brygu prawdopodobnie prędzej dostaniemy się do Anglii niż z tym oto poczciwcem Janem van Vlint.

— Jan van Vlint — dodał porucznik — popłynie też z nami do brygu, zdać sprawę kapitanowi. Za chwilę odpłyniemy, ale wprzód jeszcze obejrzymy statek.

Skinął na majtków i przejrzał wszystkie zakątki barki. Jan powiedział prawdę: oprócz baryłki wódki, nie znaleziono nic podejrzanego.

Za kilka minut podróżni i Jan wsiedli razem z anglikiem do łodzi, która przybiła wkrótce do brygu.

VI.

Kapitan Erskine właśnie ukończył swą toaletę w kajucie, gdy pierwszy porucznik dał mu znać, że łódka, wysłana do barki, wraca z czterema osobami więcej. Dowódzca brygu był to człowiek wysoko wykształcony i światowy, zamiłowany w muzyce i śpiewie, nawet sam potrosze dyletant w obojgu, a przytem fantastyk i oryginał, jak wielu anglików. Zaciekawiony raportem porucznika, wyszedł na pokład w chwili, gdy przybyli drapali się nań, śród żartów i śmiechów załogi.

— Hola, Jarvis! — krzyknął kapitan. — Bawiłeś długo.

— To też nie wracam z próżnemi rękami, kapitanie — odparł Jarvis, salutując.

— Cóż to za ptaszków przywozisz? — pytał Erskime, gdy wszyscy byli już na pokładzie.

— Są to ptaszki śpiewające, kapitanie — rzekł Jarvis. — Przynajmniej tak utrzymuje jedna z tych dam.

— Dam? Na Jowisza! Wszak to oficerowie francuzcy!

Głośne śmiechy rozległy się wkoło ze spotęgowaną siłą.

Wysłuchawszy opowiadania śpiewaczki i Jana van Vlint, kapitan potarł czoło.

— Hm, jeśli tak jest istotnie, będę miał sobie za prawdziwy zaszczyt, że wypadnie mi miéć tak słynnych gości na pokładzie. Ale macie państwo jakie dowody, papiery legitymacyjne?

— Żadnych — odparła Katalani.

— Hm, to źle...

— Czy pan wątpisz o prawdzie słów moich, kapitanie?

— Nie, ale to jakoś...

— Przekonasz się pan, gdy przywieziesz nas do Anglii — rzekła śpiewaczka. — Dokąd pan płynie?

— Do Portsmuth... Wiozę ważne depesze admiralicyi.

— Wybornie. Radzi jesteśmy dostać się do Portsmuth, a ztamtąd pojedziemy do Londynu. Co się zaś tyczy dowodów i legitymacyi, jeśli pan chcesz miéć je zaraz, mogę przedstawić mu legitymacyą najlepszą, a w tym wypadku jedyną możliwą. Czy pan gra lub śpiewa, kapitanie?

— Cokolwiek.

— A więc znasz się pan na sztuce naszej.

— Mam się nawet za wytrawnego znawcę — rzekł Erskine. — Słyszałem wszystkie nasze najsławniejsze śpiewaczki: panią Banti, panią Billington, panny: Marchesi, Marochelli i wiele innych.

— Doskonale!—zawołała śpiewaczka.—A więc mogę panu zaśpiewać, co każesz i wtedy osądzisz, czy jestem rzeczywiście Katalani, czy nie. Jeszcze będąc w Madrycie, przygotowywałam się do występów w Londynie i pochlebiam sobie, że umiem już nieźle obydwa hymny narodowe angielskie. Czy życzysz pan, abym zaśpiewała „God save the king" (Boże, zachowaj króla), czy „Rule Britannia" (Rządź, Brytanio!)

— Jeśli łaska i jeśli mi pani raczy pozostawiać wybór, to proszę o „Rule Britannia" — rzekł z grzecznym ukłonem kapitan.

Właśnie wschodziło słońce, wychylając się z modrej toni wód i pierwsze purpurowe jego promienie oblały dokoła okrętu fale, ozłociły żagle i maszty. Katalani udrapowała artystycznie swój płaszcz oficerski i wystąpiła na środek. Cała załoga tłoczyła się w milczeniu na pokładzie, pragnąc posłuchać tego osobliwszego koncertu.

Artystka zaśpiewała nieporównanym swym głosem:

Ledwie Brytania się wyłania,
Na rozkaz bozki z modrych fal,
Już ma przywilej panowania,
Aniołów pieśń już niesie w dal:
Brytanio! Rządź na morzach wszędzie,
Bryt niewolnikiem nigdy nie będzie!

Podobnie płynęły dalsze strofy prześlicznej pieśni narodowej, ułożonej w połowie XVIII wieku, przez biednego poetę szkockiego Thomsona.

Takiego koncertu nikt jeszcze nigdy nie słyszał na żadnym okręcie.

Kapitan zupełnie był przekonany. Dziękował śpiewaczce i po przyjacielsku uścisnął jej rękę.

— Nie mam teraz żadnej wątpliwości—rzekł— i proszę mi darować, że zrazu wątpić śmiałem. Nigdy nie słyszałem nic podobnego. Nie potrafi tak śpiewać ani Banti, ani Billington, ani Marchesi, nikt zgoła z wyjątkiem Katalani, o której tyle czytałem w gazetach. Co się zaś tyczy tego pana — rzekł spoglądając z ukosa na kapitana Valabregue — radbym, aby popisał się także ze swym śpiewem...

Valabregue drgnął mimowoli, gdyż o śpiewie miał jedynie bardzo słabe pojęcie...

— Signor del Canto—podchwyciła Katalani — śpiewać nie może, bo już od dni kilku ma chrypkę wskutek przeziębienia.

Kapitan uważał za obowiązek grzeczności nie nalegać i tak Valabregue ocalał.

— Pani — mówił Erskine do śpiewaczki—dziękuję pani w imieniu Anglii i jestem szczęśliwy, że mogę oddać na jej rozkazy mój bryg. Chłopcy— rzekł obracając się do załogi — uczcić boską Katalani trzykrotnym okrzykiem, według obyczaju angielskiego!

Trzykrotne głośne hurra rozległo się w powietrzu.

Katalani dziękowała wszystkim z uśmiechem czarującym.

— Radbym — mówił kapitan — uczcić panią salwą ze wszystkich dział okrętu.

— O, dziękuję! — odparła śpiewaczka. — Nie lubię huku armatniego.

— No, to mniejsza, ale musimy wyprawić sobie sute śniadanie.

Jana van Vlint, o którym wszyscy zapomnieli, odprawiono z powrotem na jego barkę. Katalani zapłaciła mu umówione dwa tysiące franków.

Przy „sutem śniadaniu" wszyscy byli niezmiernie weseli i ożywieni. Katalani zaśpiewała jeszcze parę piosenek włoskich, czem wprawiła kapitana w zachwyt, a wyglądała tak uroczo w swoim mundurze oficerskim, że Erskine rozpływał się w uwielbieniu i słał jej wymowne, gorące spojrzenia. Nie tak życzliwie spoglądał na kapitana Valabregue, mniemanego signora del Canto, którego może posądzał o czuły stosunek z „boską" śpiewaczką.

Podróż odbyła się wesoło. Poczciwy Erskine powtarzał, że to najmilsza ze wszystkich jego podróży.

— Nazajutrz około południa bryg przybił do Portsmuth. Nasi podróżni pożegnali serdecznie kapitana i całą załogę. Erskine pocieszał się tem, że prawdopodobnie zdoła jeszcze zobaczyć i usłyszeć Katalani w Londynie. W Portsmuth dopiero śpiewaczka i jej pokojówka przywdziały napowrót suknie kobiece.

Kapitan Valabregue, zapomniawszy o obowiązkach służbowych, towarzyszył śpiewaczce do Londynu i był świadkiem jej tryumfów. Bawił tam około miesiąca, ale nakoniec uznał, że wypada mu wrócić do Paryża i zdać sprawę Fouchému ze skutku otrzymanego polecenia.

— Byłeś pan moim aniołem stróżem — rzekła mu Katalani przy pożegnaniu.

— Pani uczyniłaś dla mnie więcej — odparł rozczulony kapitan — bo wybawiłaś mnie od pontonów...

— Czy nie zapomnisz pan o mnie? — pytała figlarnie piękna Aniela.

— Zapomnieć? Anielo, czy mogę wrócić?

— Wracaj, Rolandzie — szepnęła śpiewaczka.

Uszczęśliwiony kapitan popędził do Paryża i stanął przed obliczem Fouchégo?

Minister przyjął go kwaśno.

— A, jesteś pan nakoniec! — zawołał, mierząc go podejrzliwem spojrzeniem.

— Jestem, ekscelencyo.

— Gdzieżeś to pan był u licha tak długo?

— W Londynie, ekscelencyo.

— Tak? A po co?

— Wasza ekscelencya rozkazała mi, jeżeli wolno przypomnieć, ścigać pannę Katalani, aż nad brzeg morski, jeżeli tego zajdzie potrzeba.

— Hm... prawda, mówiłem to panu.

— Spełniłem ten rozkaz i razem ze śpiewaczką wsiadłem na statek jakiegoś kontrabandzisty, który miał ją przewieźć z Ostendy do Anglii.

— Cóż dalej?

— Statek pochwycony został przez anglików i tylko przytomności umysłu panny Katalani zawdzięczam, że nie wysłano mnie na pontony. Zapewniła kapitana statku angielskiego, że jestem śpiewakiem, jej towarzyszem.

— Hm... w całej tej historyi jest coś podejrzanego...

— Co takiego, ekscelencyo?

— Zdaje mi się, że chociaż kapitan żandarmeryi nie schwytał śpiewaczki, za to śpiewaczka schwytała kapitana...

— Być może, ekscelencyo.

— Nie spełniłeś pan danego ci polecenia.

— Cóż miałem czynić, ekscelencyo? We Francyi nie udało mi się schwytać panny Katalani. Byłbym to może spełnił na statku kontrabandzisty, ale od chwili, gdy go schwytali anglicy, Katalani była bezpieczną, a ja sam zostałem na jej łasce. Naraziłem pomimo to swoją osobę, udając się do Anglii, ale, oczywiście, nie mogłem już tam jej uwięzić.

— Nie musi być wszystko prawdą w tej historyi — rzekł oprysklikwie minister.

— Ekscelencya niełaskawa na mnie — odparł urażony kapitan.

— Mam do tego powody.

— Dziękuję więc i za taką nagrodę moich trudów. Zapewne nie mogę spodziewać się awansu?

— Bardzo wątpię.

— A więc podam się do dymisyi.

— Jak się panu podoba. Żegnam pana kapitana.

— Żegnam waszą ekscelencyę.

Valabregue istotnie podał się do dymisyi, gdyż służba w żandarmeryi obmierzła mu od czasu, gdy kazano mu ścigać śpiewaczkę.

Wkrótce pospieszył ukradkiem do Londynu. Aniela Katalani przyjęła go serdecznie, a po upływie sezonu koncertowego, który ją zbogacił, oddała mu swoją rękę. Państwo Valabregue żyli ze sobą długo i szczęśliwie, daleko szczęśliwiej niż niejedno stadło artystów za naszych czasów. Oboje dokonali życia w starości, w pięknej swej willi pod Florencyą.

Pamięć o „zwycięztwie Anieli Katalani nad Napoleonem", przetrwała długo, zwłaszcza wśród anglików, uszczęśliwionych tem, że bezbronna śpiewaczka wyprowadziła w pole potężnego wroga Anglii.

DWA LISTY Z AFRYKI.

PRZEZ

J. Hanningtona.

LIST II.

(Dokończenie.)

Zanim dostaliśmy się do obozu, nadeszła podzwrotnikowa ulewa. Schroniłem się do chaty krajowca; ale nawet tam musiałem siedzieć pod rozłożonym parasolem, bo dach przeciekał niemiłosiernie, skutkiem czego ziemia zamieniła się w błotnistą kałużę—i łóżko, w którem obiecywałem sobie rozkoszny spoczynek, przemokło do szczętu.

Podczas pochodu, wpadaliśmy ciągle w strumienie i mokradła, a deszcze stały się tak gwałtowne, że zwątpiłem już czy będzie można iść dalej, gdyż wodę czasem mieliśmy do kostek, czasem po kolana, a czasem przez długie godziny, ludzie moi nieśli mnie, brnąc w wodzie do pasa. W takich razach wchodziłem do hamaka i sześciu ludzi niosło mnie na głowach, jak gdybym był drewnianą belką; nie było to wcale wygodne, lepsze jednak od ciągłego moczenia się w wodzie. Myślałem często o biednym Liwingstonie i jego cierpieniach, bo moje przejścia bardzo były do tego podobne.

Muszę opisać sposób w jaki przebywałem strumienie. Wyobraźcie sobie mnie klęczącego na barkach silnego człowieka, z rękami opartemi na ramionach drugiego, podczas gdy trzeci z tyłu trzymał mnie za nogi. Przy przejściu przez bystro płynące wody, sześciu lub ośmiu nawet ludzi musiało podtrzymywać tych co mnie nieśli, żeby niosących wraz ze mną nie uniosły wartkie prądy.

Rzeki te i strumienie były mojem prawdziwem udręczeniem. Gdyby nie słabe zdrowie, wolałbym się zamoczyć od stóp do głów: gorsze jednak jeszcze od strumieni były bagna. Milę lub więcej niesiono mnie przez straszne, czarne błoto, sięgające wyżej kolan moim ludziom. Było to bardzo męczące dla nich, a przykre dla mnie, tem więcej, że czułem iż połykam febryczną zarazę za każdem odetchnieniem. Raz zdarzyło się, że choć ciężko chory, musiałem iść pieszo piętnaście mil. Innym razem, zaledwie mogąc utrzymać się na nogach, podtrzymywany przez chłopców, wlokłem znużone członki sześć mil. Moi ludzie mówili do siebie:

— Ten człowiek musi umrzéć, ale dlaczego jest taki wesoły i spokojny mimo tego? Czarny człowiek położyłby się na brzegu drogi i zdechł jak baran!

Raz zasięgnąłem porady u miejscowego lekarza. Człowiek ten odznaczał się wyższą moralnością od swoich rodaków, którzy o ile mi się zdaje, są łotrami najgorszego gatunku. Był on dobrego serca i nie miał cienia nienawiści, zwykłej cechy pogańskich kapłanów. Bez wahania pokazał mi i wytłomaczył swoje czary i ich skutek, a w końcu zaczął mnie badać. Wziął do tego dwa prątki z małą figurką na końcu, nad którą odmówił jakąś modlitwę.

Laleczka po dotknięciu moich piersi zwróciła się ku niemu, co powtórzyło się dwa razy, a potem powiedział, że mam katar i kaszel, co łatwem było do odgadnienia a trudnem do zaprzeczenia, zważywszy, że od wejścia do chaty doktora, kaszlałem i kichałem bez ustanku. Kiedyśmy go poprosili o lekarstwo i zapytali czy może zakopie flaszeczkę w ziemię i odmówi nad nią modlitwy, które sprowadzają deszcz, odpowiedział:

— Nie! Bóg tylko może sprowadzić deszcz, ale czyż możemy się tego spodziewać jeżeli nie będziemy się modlili i czynili ofiar takich, które Mu są przyjemne?

Na modlitwę szedł zawsze do lasu, a gdy zapytaliśmy, czy jego Bóg jest w lesie?

— Nie! — odrzekł — ale tam jest spokojnie i zdala od ludzi.

Mimo tego miał pełno zabobonów najwstrętniejszych. Raz, syn jego był umierający, wyprawił zatem poselstwo do sułtana z zawiadomieniem, że pewien człowiek z tej wsi rzucił nań czary. Odpowiedź sułtana była krótka: „Wiesz jaka jest kara za rzucenie czarów (śmierć), wymierz ją winnemu."

Oskarżony był niesłychanie mężny, bano się go powszechnie i nikt mu nie śmiał zanieść wyroku; zawiadomienie o tem posłano sułtanowi, który zapytał, czy żaden z jego wojowników nie podejmie się wykonania wyroku?

Wszyscy się cofnęli, jeden tylko człowiek, którego znałem dobrze, wystąpił i oznajmił że podejmuje się tego. Zaproszono skazanego na wieczerzę: odmówił, wykonawca zatem wyroku poszedł do jego domu i stał pode drzwiami dopóki go nie ujrzał i wtedy strzelił i zranił go. Ludzie rozstawieni naokoło, rzucili się na kata i zakłuli go na śmierć.

Wtem na szczęście syn wyzdrowiał, a ojciec był pewny, że skutkiem rany czarownika choroba go porzuciła.

Malowniczy jest widok obozowiska, pokolenia Wanyamwezi. Byłem raz świadkiem osobliwszego między nimi obrzędu. Chory siedział na prost lekarza, który nalał jakiegoś czarnego płynu na jego lewą dłoń i wyciągnąwszy nóż, zrobił kilka lekkich nacięć, jak do tatuowania: na czole, wskazujących palcach, na czubku głowy, na każdem ramieniu, na plecach, na dużych palcach, po obu stronach szyi i na języku. Po skończeniu tych nacięć, każde z nich posmarowane zostało z lekka lekarstwem, a chory powstał gotów do dalekiej podróży, bo życie jego odtąd było zaczarowane.

Pewnego dnia po rozbiciu namiotów, posłyszałem straszną wrzawę w obozie i wybiegłszy przed namiot ujrzałem uciekającą zebrę, ściganą przez jakich stu ludzi. Zabili ją dzidami niedaleko ode mnie i wtedy wybuchła groźna kłótnia. Pobiegłem w tamtą stonę i znaleźliśmy się wśród powiększającego się tłumu, w bardzo nieprzyjemnem położeniu. Na ziemi leżała rozciągnięta piękna zebra; ja stałem od strony ogona, Browne od strony głowy, a w koło nas nasi ludzie, kłócący się zajadle, grożący sobie dzidami. Browne nareszcie doszedł do głosu i kazał odnieść zwierzę do swojego namiotu, mówiąc że je pokraje i obdzieli wszystkich. Propozycya przyjętą została z ogólnem zadowoleniem. Browne skórę dał mnie, ale była tak podziurawiona dzidami, że postanowiliśmy uciąć każdy po kawałeczku na pamiątkę. Wtem nadbiegł przywódzca tragarzy i powiedział, że mięsa zebry nie wolno jeść ludziom z pokolenia Wanyamwezi, trzeba więc wyrzucić zwierzę po za obóz, jeżeli nie chcemy, żeby nas pochłonęła ziemia.

Słysząc to, zgłodniali tragarze rzucili się na zwierzę i rozdarli na kawałki, zjedli i ziemia nie pochłonęła nikogo.

Skutkiem powtarzających się paroksyzmów gwałtownej febry, musiałem i ja w końcu położyć się w hamaku. Zdawałoby się, że to bardzo wygodnie być tak przenoszonym z miejsca na miejsce, a jednak mogę was upewnić, że kto raz tej przyjemności pokosztuje, nie rad ją powtarza, chyba z musu. Mógłbym całe tomy napisać o niewygodach i nudach podobnej podróży.

Raz upadł tragarz idący z przodu i jakimś dziwnym wypadkiem przyciśnięty został do ziemi drągiem od hamaka, ja się zsunąłem na niego, tak że bez pomocy drugiego tragarza żaden z nas podnieść się nie mógł. Czasami upadał tragarz idący z tyłu, w takim wypadku padałem i ja na tył głowy. Raz osunął się na kolana w gęstem błocie, a innym jeszcze razem obaj upadli jednocześnie i ja z nimi naturalnie.

Trudno opisać te gałęzie chłoszczące po twarzy, to uderzanie o pnie drzew, lub pochód po nierównym gruncie, na którym tragarze trzęsą podróżnikiem jak ziarnkiem grochu niesionem na bębnie. A o wnoszeniu pod górę z nogami wyżej głowy, nie warto nawet wspominać, gdyż tak często się to zdarzało, żem zupełnie się oswoił z widokiem moich nóg w powietrzu.

Wspominałem już o okropnościach przepraw przez strumienie, bagna i kałuże, kiedy tragarze ślizgają się, chwieją, potykają i znowu prostują, przyprawiając o ciągły niepokój i trwogę.

Długi czas jednak podróżowałem w ten sposób, bo choroba doprowadziła mnie do takiego wychudzenia, że została tylko wiązka kości, straciłem trzecią część mojej normalnej wagi.

Na zakończenie, opiszę wam mój pałac, czyli namiot i jego umeblowanie: Naokoło słupa, który go podpiera, stoją dzidy, jedna z moich strzelb i miecz jakiego używają krajowcy. Dalej mieści się skrzynka z kory tutejszego wrzosu, rondel, wiadro z wodą i dwie skrzynki z zapasami, na jednej z nich lampa, na drugiej filiżanka. Najlepsza skrzynka oparta jest na dwóch kłach słoniowych, żeby ją zabezpieczyć od mrówek. Za śpiżarnią rozciąga się garderoba, w której oprócz moich ubrań, mieszczą się i skórzane tarcze krajowców. Pod skórami lampartów i innych zwierząt leżą towary przeznaczone na handel zamienny, a w samym rogu pęk kijów takich jak noszą krajowcy. Pozatem jest moja jadalnia i sypialnia: na łóżku rozciągnięta moja stara, ulubiona kołdra, nieodstępna towarzyszka we włóczęgach od lat piętnastu, koło łóżka skrzynki z lekarstwami i papierami. Używam ich zamiast stołu, ale że są małe, więc w czasie obiadu niektóre rzeczy trzeba stawiać na podłodze.

Przebywszy powtórnie pustynię, w końcu dostaję się do Kisokwe, do domu państwa Cole, gdzie zastaję maleńkie, pięciomiesięczne dziecko, pierwsze, które w Afryce na świat przyszło. Oboje państwo Cole są gorliwymi misyonarzami, pani Cole ma szkołę niedzielną, bardzo uczęszczaną, a uczniowie jej godni są obejrzenia. Jedni ubrani wspaniale w jaskrawe suknie, inni tylko w koźlich skórach, umalowani czerwoną farbą, lub uzbrojeni w łuki, dzidy i puklerze, ale wszyscy są pełni uszanowania dla nauczycielki, porządni, pilni i starają się wykłady pani Cole pojmować.

W Kisokwe, w dodatku do innych strapień, postradałem przyjaciela, który tak jak ja powracał do Anglii. Umarł prawie nagle i w chwili śmierci ja tylko byłem przy nim.

W kilka tygodni potem, kochana pani Cole, która była tak dobra dla mnie podczas mojego dwukrotnego pobytu w ich domu i tak całą duszą oddana sprawie oświaty i dobrobytu czarnych dzieci Afryki, umarła także.

* * *

A teraz kochani moi siostrzeńcy i siostrzenice, muszę zakończyć mój list. To com ja przecierpiał w tych krajach, co cierpi tylu innych, trzeba cierpieć dalej, dopóki nie powstanie duchowieństwo z miejscowej ludności, które dokona wielkiego dzieła nawrócenia Afryki na łono Chrystyanizmu.

Pomyślcie o tem czasami.

Wasz kochający wuj

Hannington.

RADUJE SIĘ DOM CAŁY.

(Z francuzkiego),

PRZEZ

Gabryelę H.

I.

Dnia tego, raduje się dom cały.

Na wschodach ruch i życie, światło gazowe zdwojone, gdyż jest-to pierwszy tydzień nowego roku, radosny, hałaśliwy, gwarny tydzień odwiedzin, podarków i przyjęć.

Na drugiem piętrze, w słabo oświetlonym pokoju, przy pustem łóżeczku, siedzi dwoje małżonków.

Ten wesoły dla innych dzień, jest rocznicą śmierci ich dziecka.

Chłopczyk ośmioletni, śliczny, ma się rozumiéć, gdyż wszystko co tracimy i cośmy kochali przywdziewa szatę poezyi.

Ojciec i matka siedzą w milczeniu, obojętni na dźwięk muzyki, co się nad głowami ich odzywa, obojętni na wesołe śmiechy, które u stóp swych słyszą.

Spoglądają na puste łóżeczko.

Było to jedyne ich dziecko, ból tem straszniejszy!

Nie płaczą; łzy ich się wyczerpały przez rok cały.

Zagłębiają się w wspomnieniach.

— Widzę go jeszcze! — mówi ojciec.

— Widzę go zawsze! — mówi matka.

— Uśmiecha się do mnie, jak w ostatniej godzinie, gdy biedne jego usteczka miały barwę fiołków.

— Patrzy na mnie, swemi dużemi oczyma, rozszerzonemi w gorączce.

A wzrok ich oderwać się nie może od pustego łóżeczka.

Raduje się dom cały.

II.

Wspominają pieszczoty dziecięcia.

— Ciebie kochał najwięcej — rzecze matka do męża.

— Nie, słowo moje było czasem surowe.

— Słuchał cię z szacunkiem.

— Tak, lecz całował cię z miłością.

I ojciec mówił dalej:

— Byłbym człowieka z niego zrobił; chciałem duszę jego wznieść, a umysł rozszerzać, zahartować go do walk z losem, z życiem, chciałem go ku niebu skierować... Znalazł sam drogę, którędy go prowadzić miałem, poszedł, uleciał, a my, widzimy go jeszcze.

Milczą. Słychać dźwięk walca.

— Czyż śmierć dziecka nie stanowi nic? — woła matka. — Biedny, ukochany aniołku! w świecie gwarno i wesoło, jak gdybyś nigdy nie istniał; ptaki świergocą, a kwiaty kwitną, jak gdybyś ty sam nie był ptakiem i kwiatem.

— Takie prawo natury! — szepcze ojciec.

— Wiem o tem — rzecze ona — lecz jestem kobietą tylko i mówię, że prawo jest okrutnem.

— Poddaj się!

— Nie, wolę cierpieć.

Raduje się dom cały.

III.

— Jeśli Bóg dobry, jeśli sprawiedliwy — mówi matka — to dziecię nasze szczęśliwem jest w niebie.

— Bóg jest dobry, Bóg jest sprawiedliwy, a dziecię nasze szczęśliwe, nie wątp o tem.

— Czy szczęśliwsze niż z nami? — pyta z zazdrosnym niepokojem, którego nie ukrywa.

Ojciec milczy.

— Nie odpowiadasz? — mówi trwożliwie.

— Szczęście jego być musi bez granic, jak aniołów szczęście.

— A jeśli o nas zapomniał? — woła — oh! myśl ta jest straszną.

— Straszną, to prawda, ale tak nie jest.

— Najbardziej się obawiam — mówi głosem stłumionym — być zapomnianą przez własne dziecię!

— Oh! tylko nie to!

A biorąc rękę żony, rzecze:

— A więc, modłami naszemi przypomnijmy się jemu!

— Tak, módlmy się!

I klękają przy pustem łóżeczku, w słabo oświetlonym pokoju.

Raduje się dom cały.

Charles Mouselet.

Z pod naszej strzechy.

Kiedy „cała Warszawa”, według utartego wyrażenia, buja sobie po świecie i bądź to w falach morskich szuka orzeźwienia, bądź też w niezbyt woniejącym Busku się kąpie; kiedy każdy „przeciętny” warszawiak jedzie w odwiedziny do żony i dzieci używających letniego mieszkania w Jabłonnej lub Mrozach, niechże wolno będzie i pokornemu słudze waszemu opuścić mury miejskie i szukać wrażeń po za rogatkami Warszawy.

Jest niedziela, chmury czarne jak smoła gromadzą się na horyzoncie, warszawianki drżą o swe kapelusze i sukienki świeże, a biedni dyrektorowie teatrzyków ogródkowych siedzą w pustych kasach skwaszeni i smutni, wyrzekając na to, że słońce odmawia sztuce dramatycznej swej protekcyi.

My jednak nie zważamy na to, jedziemy. Ale czytelnik nie wie jeszcze kto to *my?* więc objaśnię. My, to znaczy członkowie najrozmaitszych redakcyi. Konserwatywni, postępowi, czarni, biali, pomidorowi, czerwoni, niebiescy, ludzie siedmdziesięciu przekonań i kierunków. Zapewne sądzisz czytelniku, że zebraliśmy się na walną bitwę dziennikarską, że zawiąże się pomiędzy nami gwałtowna utarczka polemiczna? Nie — jesteśmy wszyscy w rozczulającej zgodzie. Zagorzały postępowiec opowiada zawziętemu konserwatyście o pogodzie, a dwaj przedstawiciele przeciwnych sobie obozów, ujęli się pod ręce i jak bracia syamscy stoją pod wspólnym... parasolem.

Jest zawieszenie broni, albowiem znajdujemy się na gruncie ściśle neutralnym, jesteśmy gośćmi redakcyi „Ogrodnika polskiego”.

Ta redakcya ma także swoje osobliwości; przedewszystkiem idee swe rozprzestrzenia i na papierze i na gruncie, walczy i piórem i motyką, a co do przekonań, to szanuje dawne, doskonałe gatunki polskiej kapusty, ale zarazem nie gardzi i selerem angielskim, lub grochem amerykańkim, jeżeli ten jest dobry. Arystokratyczna winorośl lub delikatna Duchessa, traktowaną jest przez tych panów równie troskliwie jak demokratyczna rzepa, a dla cebuli i czosnku nie mają praw wyjątkowych. Przyznasz zatem czytelniku, że na takim gruncie, w gościnie u takiej redakcyi, wszelkie polemiki są niemożliwe.

Zebraliśmy się w mieszkaniu braci Kaczyńskich, współredaktorów „Ogrodnika” a zarazem właścicieli pięknego ogrodu przy ulicy Mokotowskiej, i gdy już nikogo do kompletu nie brakło, zajechały „powozy redakcyjne” i udaliśmy się na kolonię.

Zapewne nie wielu czytelników wie co to jest owa kolonia redakcyi „Ogrodnika polskiego”; sądzę więc, że podanie o niej kilku szczegółów może być istotnie zajmującem.

Podróż nie trwała długo; przez pole Mokotowskie dostaliśmy się do Rakowca i znaleźliśmy się w tak zwanej „Osadzie młynarskiej”.

Jest-to osobliwszego rodzaju folwarczek, budyneczki ma niewielkie lecz porządne, a inwentarz złożony z czterech koni, jednej krowy i dwóch okazałych piesków podwórzowych. Ogólna przestrzeń gruntu należącego do folwarczku, wynosi dwadzieścia ośm morgów, gospodarstwo jest tak dalece wielopolowe, że pól policzyć nie sposób, a dochód brutto z tej fortuny wynosi około 40,000 rubli!

Bynajmniej nie są to żarty, ale najszczersza prawda, albowiek folwark ten nie produkuje ani pszenicy, ani żyta; nie lęka się też pruskiego cła od zboża i mało go obchodzi konkurencya amerykańska.

Obaczmy jakież tam rośliny uprawiają? Przedewszystkiem uderza w oczy niesłychana pstrocizna i rozmaitość barw, tak że cała przestrzeń wygląda jak dywan turecki, lub używszy bardziej ścisłego porównania, jak olbrzymi szal szkocki o najdzikszych barwach. Kto rozmaitość lubi, może jej tu znaleźć do syta. Na jednej grzędzie rozłożyły się wygodnie potężne dynie, tęgie, grube, istne opasy królestwa Flory, obok nich jest groszek pachnący, po za nim potwornych kształtów kapusta, za nią jaskrawe flory, tu widać krwawe liście buraków, za niemi astrów pełen zagon, tu marchew, tam gwoździki. Pomidor czerwony, zwiesza się z podpórki, jakby chcąc się uraczyć wonią rezedy, suchy nieśmiertelnik sąsiaduje z czarnuszką, koper się pieści z cebulą, a z pośród tej rzeszy wystrzela w górę kukurydza, węgierka z rodu, ale już zaaklimatyzowana tutaj.

Teraz wie już zapewne czytelnik, że znajdujemy się na stacyi hodowli nasion warzywnych i kwiatowych. Tak jest: to jedna z piękniejszych prac „Ogrodnika polskiego” w której praktyka stwierdza teoryę i dowodzi, że i na naszej biednej ziemi można zrobić wiele, przy wytrwałości, umiejętności i pracy.

To osobliwsze gospodarstwo, w którem uprawa wymaga mrówczej pracy i benedyktyńskiej cierpliwości, a którego owoce sprzedają się na łuty i na ziarnka, jest w naszym kraju pierwszem i jedynem. W Quedlinburgu, w Erfurcie, tych stolicach produkcyi nasion, rozsyłających swój towar po całej Europie i Ameryce nawet, tego rodzaju ferm jest mnóstwo. Dają one utrzymanie wielu rodzinom, przysparzają bogactwa krajowi i są nader obfitem źródłem dochodów. Nasi dzielni ogrodnicy zapragnęli urządzić pod Warszawą miniaturowy Quedlinburg i dopięli swego. A rzecz to doprawdy nie łatwa. Przedewszystkiem pólka muszą być bardzo porozrzucane, gdyż nie można sadzić np. astrów białych, obok czerwonych, dla uniknięcia krzyżowania—i tak z każdą rośliną, z każdym gatunkiem trzeba postępować. Powtóre chcąc mieć doborowe nasiona, trzeba wybierać doborowe rośliny, w tym celu każdy egzemplarz oglądany jest troskliwie, a jeśli nie posiada cech charakterystycznych, typowych, zostaje wyrwany z ziemi i wyrzucony. Rewizya taka jest bardzo surowa, to też nieraz (zwłaszcza, gdy użyto da siewu nasion zagranicznych), z całego zagonu zostaje zaledwie kilkadziesiąt, a czasem kilkanaście roślin. Jeżeli jeszcze weźmiemy na uwagę nadzwyczaj staranną uprawę, pielenie, zbiór, wymłocenie, suszenie, przechowywanie nasion i wysadków, będziemy mieli przybliżone pojęcie jakiej pracy, jakiej pilności gospodarowanie na takiej „stacyi” wymaga. Ale też nie należy zapominać, że tylko taką pracą

i pilnością można skutecznie rywalizować z zagranicą i przyczyniać się do zatrzymania w kraju tych znacznych kapitałów, które corocznie na kupno nasion wydajemy.

Przechodząc od grządki do grządki, oglądając szczegółowo dorodne i piękne rośliny, pamiętałem ciągle, że jestem „damskim pisarzem" i starałem się utrwalić w swej pamięci kilka odmian godnych rozpowszechnienia.

Więc dla pań, które lubią ogród i zajmują się nim z zamiłowaniem, polecam „cebulę żytawską" żółtą, bardzo wielką, dającą się wybornie przechowywać przez zimę; prześliczne fasole, z których Hinricha szparagowa, olbrzymia, doskonała jest do użycia na zielono (*haricot vert*); groch cukrowy zwany „redakcyjny" (odmiana otrzymana przez redakcyą), doskonałą kapustę polską, ogórki, pomidory, selery, marchew, karotę paryzką i wiele innych warzyw, których katalog szczegółowy wydaje corocznie redakcya „Ogrodnika".

Panienkom dbającym o to, aby pod oknami i na klombikach w ogrodzie były kwiatki, możemy zalecić prześliczne lewkonie bukietowe, groszek pachnący w nowej odmianie (*invincible*), wiązankę (*phacelia campanularia*); astry pełne, nizkie (Botzego); floky, rezedę (szczególniej złotą, *ameliorata aurea*); zatrwian (*statice*); bratki (*Trimardeau*); ogromne aksamitne (prześliczna odmiana); różnokolorowe Zinie i gwoździki, których jest bardzo wiele odmian.

Obszedłszy całą fermę, zasiedliśmy pod cieniem drzew, przy prostym stole drewnianym i podejmowani serdecznie przez uprzejmych gospodarzy, przepędziliśmy kilka bardzo miłych chwil na rozmowie o przyszłej wystawie ogrodniczej i o dalszych zamiarach i planach jakie redakcya „Ogrodnika polskiego" wykonać zamierza.

Aż rzeźwiej się robi na sercu, patrząc na ludzi, którzy tak szybko teoryę w praktykę, idee w czyny zamieniają; aż rzeźwiej się robi widząc tę pracę, wytrwałość, wysokie uzdolnienie fachowe! wiarę w własne siły. Wznieśliśmy też szczerem sercem toast za zdrowie „ogrodników" i za pomyślność kolonii. Tymczasem słońce, które wyjrzało z po za chmur zaraz po naszym wyjeździe w Warszawy, już się ku zachodowi zniżać zaczęło i trzeba było wracać do miasta. Wróciliśmy też ale inną drogą, gdyż obecny na tem koleżeńskiem zebraniu p. Piotr Hozer (syn), kasyer Towarzystwa ogrodniczego, zawiódł nas do swej kolonii, gdzie znów podziwialiśmy wzorowo utrzymaną szkółkę drzew owocowych i prześliczne róże pienne, imponujące rozmaitością i bogactwem odmian.

Już było prawie ciemno, gdyśmy powrócili w mury starej Warszawy; każdy, oprócz miłych wrażeń, wiózł z sobą jakąś pamiątkę: poeta i malarz-rzyciel pieścił się z różą; tłusty pozytywista praktyk wąchał z rozkoszą melona, a niżej niepodpisany wasz sługa wiózł z sobą twardą jak kamień tykwę. Niegdyś, powracający z Ziemi Świętej pielgrzymi przynosili w takich tykwach wodę z Jordanu, ja zaś nabiorę w nią atramentu i czernić będę papier, łudząc się słodkiem mniemaniem, że się tym sposobem do ubielenia świata można przyczynić.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Dola artysty**, która dla młodych szczególniej umysłów w tak ponętne stroi się barwy, że śmiało powiedzieć można, iż połowa przynajmniej młodzi marzy o artystycznej karyerze w zaraniu swego życia, smutną jest i ciężką szczególniej u nas.

Tylko wyjątkowo i to bardzo wyjątkowo szczęśliwie uposażeni przez naturę, mogą na starość pożądanym cieszyć się spoczynkiem; większość oddaje cały zapas sił na usługę sztuce i zabawę tłumom, aby potem, gdy tychże sił zabraknie, zabrakło i kawałka chleba.

Podobnemu losowi uległ, jak wielu innych, założyciel teatrzyków ogródkowych warszawskich Jan Rusanowski, który zakończył w tych dniach życie w nędzy, na łożu szpitalnem w mieście Lublinie.

Niechaj mu ziemia lżejszą będzie od tułaczej egzystencyi jaką wiódł na tym świecie.

*** **Rok wystawowy** coraz bardziej usprawiedliwia swoją nazwę. Zaledwie umilkły echa wystawy Rolniczo-przemysłowej, gdy nader świetnie zapowiada się ogrodnicza; dzięki zaś staraniom niewielkiej liczby specyalistów, jeden z tutejszych fotografów projektuje urządzenie jeszcze w tym roku wystawy fotograficznej, w połączeniu z produkcyami heliominiatur i litografii.

Dochód przeznaczony być ma na rzecz niezamożnych fotografów i ich rodzin. Nie chcemy bynajmniej przesądzać doniosłości, ani pożytku tego rodzaju ekspozycyi, zaznaczamy tylko sam fakt niezwykłego ożywienia pod tym względem, zwłaszcza że istnieje w kółku filantropek projekt urządzenia wystawy rodzinnych pamiątek, autografów i t. p.

Nie jestże to rok wystawowy?...

*** **Kwestya zdrowia** naszych kobiet jest w całym systemie edukacyjnym, stawiana na bardzo odległym planie, jeżeli w ogólności choć trochę uwzględnioną bywa. Dość spojrzeć na dziewczęta pracujące nad książką całemi dniami: blade, wywiędłe, bezkrwiste, aby wyciągnąć wniosek, że typ polskiej dziewczyny oddala się coraz bardziej od pierwowzoru naszych babek, trwałem cieszących się zdrowiem do późnych lat życia.

Migrena, cierpienia nerwów nie były im znane, zimno nie szkodziło ich organizmowi a trudy macierzyństwa nie przeszkadzały spełnianiu innych obowiązków, gdyż brak sił nie stawał na przeszkodzie, jak to obecnie bywa.

Z radością też witamy nowinę, że na pensyach tutejszych wprowadzoną będzie obowiązkowa nauka gimnastyki; oby tylko przeznaczono na ten cel jak największą ilość godzin i nie pozwalano uczenicom opuszczać tej pożytecznej lekcyi. Gdy program nauk, za obszerny może stosunkowo do krótkiego przeciągu czasu, nie może uledz zmianie, a tem samem wpłynąć na zmniejszenie godzin pracy dorastającego pokolenia przyszłych żon i matek, ćwiczenia gimnastyczne pozostaną jedynem źródłem ratunku dla ich zdrowia i lekceważyć ich się nie godzi.

Zaznaczamy ten fakt dla pamięci opiekunów i rodziców, którym nauka gimnastyki może się wydać błahostką i oderwaniem od innych studyów, między któremi muzyka tak ważną w edukacyi panien odgrywa rolę. Trochę mniej muzyki a więcej ruchu, to nie krzywda, lecz nie dające się obliczyć korzyści!

*** **Podajemy naszym czytelniczkom** kilka szczegółów dotyczących instytutu technologicznego w Charkowie, z tem przekonaniem, że w obecnym czasie gdy młodzież szuka pomieszczenia i sposobu do dalszej pracy nad kształceniem umysłu, przydać one się mogą.

Instytut ma nazwę zakładu „praktycznego" i posiada dwa wydziały: mechaniczny i chemiczny. Liczba słuchaczy nie może przewyższać 500, a na pierwszym kursie nie może być więcej nad 125 słuchaczów. Zmiana postanowienia w tym względzie zależy od ministra.

Przedmioty wykładane w szkole będą następujące: religia, matematyka wyższa, geometrya wykreślna, mechanika teoretyczna, fizyka, chemia, anatomia i fizyologia roślin, mineralogia i geognozya, geodezya, budownictwo, mechanika stosowana i teorya budowy machin, technologia mechaniczna, technologia chemiczna, metalurgia, ekonomia polityczna i statystyka, buchalterya; języki: francuzki, niemiecki, angielski, oraz rysunki.

Do uzupełnienia wykładów służą zajęcia praktyczne z zakresu fizyki, chemii, przyrodnictwa i t. p.

Słuchaczami instytutu mogą być posiadający świadectwa wyższych zakładów naukowych, świadectwa dojrzałości z gimnazyów rządowych, lub świadectwa z ukończenia szkół realnych z klasami dodatkowemi.

Co do kończących nauki w innych średnich zakładach, rozstrzygnięcie zależy od ministra wychowania.

Poddanym rossyjskim, w przyjmowaniu do instytutu należy się pierwszeństwo przed cudzoziemcami, a płata roczna wynosi rs. 50, z góry wnoszona koniecznie.

Instytut posiada 50 stypendyów po rs. 300 i może uwolnić 50 studentów od opłaty.

*** **Smutny objaw** obojętności dla pamiątek po zmarłym biskupie dali nam Lublinianie. Zacny kapłan pozostawił cenną bibliotekę, składającą się z dzieł religijnej treści w kilku językach, która w tym czasie sprzedaną została handlarzom żydom za 104 rs. Doprawdy, przykro jest słyszeć o możliwości podobnego faktu w mieście, w którem, o ile nam się zdawało, pamięć zmarłego jasnym świeciła blaskiem. Czyż nie znalazł się nikt, ktoby te dzieła był w stanie zakupić i przyłączeniem ich do biblioteki miejscowego seminaryum, oddać należny hołd w Bogu spoczywającemu kapłanowi. Nie dość na tem, różne przedmioty pochodzące z darów składanych przez obywateli biskupowi, przeszły kolejno w ręce handlarzy. Kosztowne lampy, pamiątkowe puhary z jego cyfrą, wszystko to zagarnął rubel w swoje posiadanie, a klęcznik sprzedanym został za 2, wyraźnie dwa ruble.

Doprawdy, trudno takim rzeczom uwierzyć, tak są one mało prawdopodobne, a jednak, niestety, prawdziwe.

Tylko fioletowa szata zmarłego dostojnika, w skutek uwag niektórych osób, ocalała od wstrętnej profanacyi.

A jednak, na cmentarzu lubelskim świeżo jeszcze zieleni się mogiła, tłum prostaczków okala ją w każdy dzień świąteczny, niby ołtarz strojną w kwiaty i wieńce. Czemuż nie przemówiono do tego tłumu, aby pomiędzy siebie rozdzielił pamiątki po ubóstwianym pasterzu, zamiast sprzedawać je przez licytacyę.

*** **Z placu Ujazdowskiego.** Za tydzień już otwartą zostanie wystawa ogrodnicza.

Na placu Ujazdowskim panuje wielki ruch. Stu kilkudziesięciu robotników krząta się około urządzenia wystawy, która zapowiada się świetnie.

Trawniki już się zielenią, kwietniki już urządzone, szopy na warzywa gotowe.

Plac przyozdabiać będą wodotryski, a światła elektryczne pozwolą zwiedzać wystawę do godziny 9 wieczorem.

Gospodarzami wystawy są pp.: Józef Kaczyński prezes komitetu wystawy i Franciszek Szanior sekretarz. Obowiązki honorowe podczas trwania wystawy, pełnić będą członkowie towarzystwa ogrodniczego.

Sędziowie do wszystkich grup wystawy są już wybrani, druk katalogu na ukończeniu.

Idzie więc tylko o publiczność i o... pogodę.

*** **Pszczelarze samozwańcy.** Zarząd muzeum pszczelniczego w Warszawie, ostrzega, aby zakładający pasieki nie przyjmowali indywiduów mieniących się być uczniami muzeum, jeżeli ci nie przedstawią świadectw z ukończonego kursu.

Ostrzeżenie słuszne, zdarza się albowiem często, iż wiele osób, po krótkim pobycie, opuszcza muzeum i rozpoczyna samodzielną praktykę, nie mając o pszczelnictwie dokładnego wyobrażenia.

Tacy to właśnie „samozwańcy" zakładających pasieki narażają na straty, a samej instytucyi zrządzają szkody moralne.

*** **Bajeczna taniość.** Z powodu zaprowadzenia w Warszawie tramwajów, dawne niezgrabne omnibusy, zwane w języku warszawskim ,,kanarkami", utraciły racyą bytu. Z tego powodu właściciele ich biorą się na rozmaite sposoby, ażeby nie tracić zarobku. I tak: z placu Bankowego na Pragę ,,kanarki" przewożą pasażerów po 5 kop. od osoby, od kilku dni zaś zaczęły kursować omnibusy „od Wolskich rogatek na Pragę" za takąż samą cenę.

To już chyba nie drogo!

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Muzeum** narodowe w Sukiennicach powiększone zostanie o dwie nowe sale, przeznaczone na pomieszczenie zbioru pamiątek po Adamie Mickiewiczu.

Cenny ten zbiór składać się będzie z popiersi, medalionów tak w marmurze, jak bronzie, z portretów olejnych, sztychów, fotografii, pamiątek osobistych po naszym wieszczu, autografów, portretów rodziny, oraz współczesnych mu znakomitszych osobistości.

Kraków zyska przez tę kolekcyę, nową a cenną ozdobę.

*** **Walka byków.** Hiszpanie pomimo klęski dziesiątkującej ludność, nie wyrzekli się w tym roku zwykłych swoich uciech. Przed kilku dniami odbyła się w Wittorio walka byków, której towarzyszyła fatalna katastrofa.

W chwili, gdy wynoszono pierwszego zabitego byka i konia, i zatarlszy ślady piaskiem, wprowadzono na arenę świeżego wojownika o czterech nogach, rozjuszone zwierzę na widok toreadora, potężnym skokiem przesadziło baryerę i rzuciło się w tłum publiczności.

Ci którzy stali najbliżej, ponieśli śmierć natychmiastową, inni byli rzucani w powietrze jak piłki.

Powstał okropny krzyk i zamęt, część straży miejskiej pilnującej porządku w czasie widowiska, rozproszyła się, uciekła, a wściekłe zwierzę popędziło na ulicę, rozganiając i raniąc mężczyzn, kobiety i dzieci.

Nareszcie, trzy strzały dane przez nadbiegłych żołnierzy, położyły trupem byka, a lud widząc, że niebezpieczeństwo minęło, zaczął gwizdać i sykać na na straż miejską i na toreadorów, za ich tchórzostwo.

Liczba zabitych i ranionych jest stosunkowo bardzo znaczna.

*** **Zahartowanie ciała** u narodów żyjących w stanie pierwotnym, doprowadzić może do zadziwiających rezultatów.

Podróżnik angielski Keenan opowiada, że widział Jakutów koczujących w Syberyi nad rzeką Leną, jak podczas 32 stop. mrozu, odziani zaledwie cienkiem futerkiem, siedzieli pod gołem niebem zajęci rozmową.

Jerzy Steller w podróży swojej na Kamczatkę opisuje, że gdy on trząsł się od zimna w łóżku, przykryty futrzanemi kołdrami, krajowcy chodzili w krótkich kubraczkach nie odziewających należycie ich ciała i ciepło im było.

Lecz najbardziej zahartowani są mieszkańcy ziemi ognistej, którzy wytrzymują wszelkie zmiany temperatury, będąc zupełnie obnażonymi. Darwin zaznacza, że podczas dotkliwego mrozu, gdy wszyscy Europejczycy na pokładzie okrętu nie mogli się rozgrzać przy wielkim w tym celu zapalonym ogniu, po obnażonem ciele siedzących zdala dzikich, syływał pot strumieniami i dusili się oni od gorąca.

*** **Trybunał Sekwany w Paryżu** miał w tym czasie do rozwiązania kwestyę nie tyle trudną, ile oryginalną w swym rodzaju.

Król hiszpański Ferdynand VII-my będący ciągle w przykrem finansowem położeniu, posiadał przyjaciela którym był sennor Uzardo, człowiek nadzwyczaj bogaty. Wierny sługa jego królewskiej mości zasilał stale własnemi funduszami wiecznie pustą kasę swego władzcy, a w r. 1822 wręczył monarsze 5 milionów realów z zastrzeżeniem „iż król odda je wówczas, gdy Uzardo zażąda wypłaty długu."

Krezus hiszpański umarł niebawem, zostawiając bardzo nieznaczny majątek.

Spadkobiercy Uzarda odnaleźli w pozostałych po nim papierach kwit króla Ferdynanda na owe pięć milionów i zapozwali królowę Izabelę, oraz księżnę Montpensier, spadkobierczynie zmarłego monarchy, o zwrot pożyczonej sumy.

Pozwane odmówiły zapłacenia długu królewskiego, na zasadzie, że to był podarunek sennora Uzarde zrobiony ukochanemu przezeń królowi.

Trybunał paryzki rozstrzygnął sprawę na niekorzyść sukcesorów królewskiego wierzyciela, którzy nie posiadają żadnego dokumentu udowadniającego że sennor Uzardo upoważnia ich do ściągnięcia długu.

Prócz tego skazani zostali na zapłacenie kosztów procesu, który obudził w Paryżu wielkie zainteresowanie.

*** **Nowo odkryty przymiot kawy.** Szczegół zaczerpnięty z zagranicznych gazet, który też z pewnem zastrzeżeniem podajemy naszym czytelniczkom.

Że kawa jest smacznym napojem, zarówno w lecie jak w zimie, o tem świadczy szerokie jej rozpowszechnienie, obecnie zaś nowy przyznano jej przymiot.

Odkryto podobno, że kawa jest doskonałym środkiem antiseptycznym, t. j. zapobiegającym rozkładowi i zgniliznie, a więc znakomitym do obwiązywania miejsc zranionych.

Doniosłe to odkrycie zrobił doktor Oppler, starszy lekarz sztabowy w Strasburgu.

Z dotychczasowego przebiegu doświadczeń, wnosić na pewno już można, że kawa mielona wprowadzona w styczność z raną, zapobiega rozkładowi tkanek i krwi.

Zastosowanie chirurgiczne jest nader proste: Kawa miałka sypie się dość grubo na ranę i obwiązuje, w skutek czego tworzy się na ranie twarda pokrywa i zabezpiecza ją od wszelkiego zanieczyszczenia i wpływów zewnętrznych.

OD REDAKCYI.

☞ **Tom ósmy pism Alberta Wilczyńskiego, za miesiąc Sierpień już wyszedł i obejmuje:**

Dziecię niedoli i dziecię próżności.

Opowiadanie.

Wydawnictwo to, redakcya przeznaczyła na premium nadzwyczajne dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum, bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*

za tom kop. 60; za tomów 12 rs. 7 k. 20

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom kop. 70; za tomów 12 rs. 8 k. 40

Dla nieprenumerujących „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*

za tom rs. 1 k. 20; za tomów 12 rs. 14 k. 40

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom rs. 1 k. 30; za tomów 12 rs. 15 k. 60

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Widok Nr 3.

ZAWIADOMIENIA.

Metoda kroju sukien.

Czytelniczkom naszym pragnącym nauczyć się kroju sukien, zalecamy książkę p. t. „Najpraktyczniejsza metoda francuzka kroju sukien damskich i dziecinnych", ułożona przez E. Kaliszewską, właścicielkę zakładu ,,Maison Phenix", w Warszawie, przy ulicy Niecałej N-r 12. Cena rs. 1. Metoda ta posiada, podług osób kompetentnych, wszelkie warunki, aby kobieta nie zajmująca się nigdy krawieczyzną, poznała ją doskonale, bez pomocy nauczyciela.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Августа 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Opis do N-ru 35.

N. 1—3. Ubrania spacerowe dla dam i dzieci.

N. 1. Suknia z długą draperyą. Krój i plecy na dodatku z formami N. XVIII, fig. 73—74.

Model odrobiony był z gładkiej deseniowej wełnianej etaminy na podwleczeniu z materyi jasno bordo; fason ten jednak nadaje się do wszelkich materyałów ze szlakami ażurowemi lub wyrabianemi w kolorowy deseń. Spódnicę zrobioną z materyi jedwabnej pokrywa wolant z deseniowej etaminy, złożony w fałdy plisowane 5 cent. głębokie a 20 szerokie. Model kroju i miary draperyi dajemy na fig. 73, na której naszycie obłożenia z deseniowego materyału odznaczone jest cienką linijką. Krótszy, boczny brzeg przedniej draperyi *a* przyszywa się gładko wzdłuż przy brytach tylnych, poniżej wszycia w pasie; dłuższy brzeg boczny, sfałdowany do 24 cent. długości, przyszyty jest przy zeszyciu bocznego i tylnego bryta, a brzeg górny sfałdowany, wszyty w pasek od spódnicy. Górny brzeg tylnej draperyi od 1 do 95 składa się w potrójną, nawewnątrz obróconą. 11 cent. szeroką fałdę plisowaną, przy ktorej umieszcza się także fałdy zaszyte wzdłuż bryta podług krzyżyków i punktów; część górnego brzega od 95 do 142, spuszcza się w pukiel. Tę część obrębia się wązko w brzegu dolnym, a z obydwóch stron bocznych przyszywa się na brytach tylnych spódnicy, przyczem brzeg boczny z lewej strony podpina się gwiazdką do gwiazdki w pukiel. Stanik odrobiony na podszyciu z materyi bordo, ma przy plecach fałdowąną baskinę, a do przodów dodany plastron, 10-12 cent. szeroki, w 3 kontrafałdy złożony, zrobiony z zielonej jedwabnej etaminy, malowanej w deseń złoty i kolorem czerwonym, indyjskim. Dolną połowę przodów zdobią w ząb wycięte patki 3 cent. szerokie; takież ubranie dane na rękawach. Kołnierzyk 4 cent. wysoki, zakończony z przodu paskiem malowanej etaminy.

N. 2. Suknia z fałdowaną spódnicą. Krój stanika podług formy do ryc. 29 w N. 23 Tyg. Mód.

Spódnica ułożona w koło w plisowane fałdy, zrobiona była z perkalu w szerokie pasy, a stanik i szarfy z perkalu w wązkie paski. Otwarte przody stanika dopełnia kamizelka wszyta między szwy boczne i na ramionach, a z przodu ozdobiona bufiastym przemarszczanym żabotem, zrobionym z prostego, 42 cent. szerokiego kawałka, przemarszczanego w górze i na wcięciu w pasie do 17 cent. Rewersy przy staniku w górze 7, na wcięciu w pasie 5, a u dołu 9 c. szerokie, mankiety i kołnierz wykładany, 8 c. szeroki, były z gładkiego perkalu. Wstążka 4 cent. szeroka na kokardy, była w takich jak pasy kolorach, to jest z jednej strony ponsowa, z drugiej szafirowa.

N. 4. Fartuszek bluzkowy dla dziewczynki lat 8—10. Krój na dodatku N. XVI, f. 69-70a.

Model odrobiony był z materyału bawełnianego w paski białe, ponsowe i szafirowe, który na przód i plecy wzięty był skośnie. Przód trzeba w odstępach trzy razy przemarszczać, w sposób wskazany na fig 69a. Przemarszczenie górne zajmuje 11 cent, dalsze 7, 6 znów 7, a dolne 11 cent. Plecy w górze ścieśnia się przemarszczaniem na 8—9 c., a następnie wszędzie zmarszczki podszywa się dla mocy paskami materyału. Na kieszonki trzeba dwóch kawałków skośnych, 11 cent. wysokich a 21 cent. szerokich, w górze przemarszczonych do 12, u dołu do 5 cent.; krótkie rękawki zrobione z podwójnie złożonego, 11 cent. szerokiego a 45 cent. długiego skośnego kawałka. Wykrój pod



N. 1. Suknia z długą draperyą. Krój i plecy na arkuszu N. XVIII, fig. 73—74.
N. 2. Suknia z plisowaną spódnicą.
N. 3. Fartuszek bluzkowy dla panienki lat 8—10. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 69—70a.

haftowanym bawełną ponsową i szafirową. 6 cent. szeroka ponsowa wstążka w atłasie służy do przewiązania na kokardę rękawków razem z ramiączkami i na szarfy przyszyte przy przemarszczeniu w pasie i związane z tyłu na kokardę.

N. 4—6, 15—17 i ryc. 37—38 w N. 36. Ręczniki ze szlakami.

N. 4—5. Ręcznik ozdobiony haftem krzyżowym i koronką dzierganą, robioną na klockach.

Oprócz skośnych szlaczków, wyszytych ściegiem krzyżowym bawełną kolorową, zdobią ręcznik wstawki i koronka robiona z dość grubych nici na klockach a następnie dziergana grubą białą bawełną do haftu. Na próbce koronki, podanej w połowie naturalnej szerokości i grubości na ryc. 4, wskazujemy które kontury i muszki dziergać trzeba.

N. 6, 15—17 i ryc. 37—38 w N. 36. Ręcznik. Haft ściegiem tkanym i frendzla z nagłówkiem plecionym. Deseń do haftu na fig. 37.

Model ręcznika, mającego, wraz z frendzlą 12 c. szeroką, 146 cent. długości a 43 szerokości, był z płótna domowej roboty. Na tym dość grubym materyale, dobrze się wydaje i łatwym jest do odrobienia haft ściegiem tkanym, bawełną kolorową, którego próbkę z dwóch stron dajemy na ryc. 37 i 38, a opis dokładny podany był w pierwszym kwartale Tyg. Mód z r. 1884. Haft robi się rzędami prostemi, a nitki idą w ten sposób jedne przy drugich, iż gdy z jednej strony tworzą deseń, z drugiej pozostawiają tło odkryte, tym sposobem haft zdobi zarówno obie strony, tylko deseń układa się z każdej odmiennie. Na modelu deseń krzyżowy fig. 37 służył za wzór do haftu wyszytego bawełną ponsową i niebieską, w od-

płótna. Na każdy krzyżyk deseniu liczy się dwie nitki, płótna wzdłuż i wszerz. Ażeby pokazać w jaki sposób deseń układa się z prawej i lewej strony, dajemy na ryc. 37 i 38 próbkę ząbków, wyszytych po brzegach szlaku. Na frendzlę ryc. 15 wysiepuje się płótno, a następnie bierze się po 3 nitki na każdy z trzech promieni warkoczy z których układa się piękny deseń nagłówka. Sposób łączenia i dzielenia plecionek zawsze złożonych z trzech promieni wskazuje ryc. 15 i powiększone próbki na ryc. 16 i 17. Po przewiązaniu węzłem promieni frędzli przycina się równo wolno spuszczone nitki.

N. 7. Woreczek do robót, pokryty siatką robioną z cienkiego szpagatu. Forma woreczka na fig. 71, próbka siatki w naturalnej wielkości na fig. 72.

Woreczek przykrawa się podług formy fig. 71, z chustki ponsowej bawełnianej, zeszywa z boków i pokrywa siatką robioną ze szpagatu, a przyczepioną do dwóch wałeczków drewnianych szpagatem okręcanym przez wierzch wałeczków i branym dwa razy w każde oczko. Pompony z włóczki ponsowej, ucho do podnoszenia ze wstążki w atłasie.

N. 10—12. Koszule mezkie dzienne. Forma na dodatku z krojami N. XI do XIII fig. 50-61.

N. 10. Koszula z tyłu zapinana. Krój N. XI, f. 50-58.

Połowy gorsu zachodzące 3 cent. jedna na drugą, zamiast na trzy małe guziczki jak powszechnie dotąd, zapięte są na jedną dużą kosztowną zapinkę, przyczem zatrzymane jest praktyczne urządzenie paska do kołnierza, wskazane na fig. 55, podług którego w zachodzącym pod spód końcu z prawej strony, podszewka nie jest przyszyta do wierzchu, tylko obie części są oddzielnie podszewkowane i przestębnowane razem podług linijki na fig. 55. Dziurkę do guzika daje się tylko w zwierzchniej części, a część spodnia chroni szyję od niemiłego ciśnięcia guzika. Rękawy koszuli wszyte są w pasek 4 cent. szeroki a 26½ cent. długi, do którego przypinają się oddzielne mankiety; jednak na fig. 60 dajemy formę mankieta przystębnowanego do rękawa, ponieważ niektórzy panowie takie wolą. Na fig. 57 i 58 jest forma oddzielnie przypinanego kołnierza.

N. 11. Koszula z kolorowym gorsem. Forma kołnierza podług fig. 61, a forma stanu i gorsu jak do ryc. 10.

Na modelu do ryc. 11 tylko gors dany był z kolorowego perkalu, z którego można także dać kołnierz i proste 7 cent. wysokie mankiety, wmiejsce cienkich płóciennych, które widzimy na r. 11.

N. 12. Koszula z gorsem pikowym. Forma kołnierza i mankietów podług fig. 50 i 60, krój stanu i gorsu jak do ryc. 10.

Stosownie do mody gors dany jest z białej piki, a kołnierz i mankiety z cienkiego płótna. Do dogodniejszego przypięcia krawata dodana jest z przodu i z tyłu oddzielna patka z tasiemki 5 cent. długa, widoczna na r. 12.

N. 13 — 14. Sukienki dla dziewczynek lat 6—8.

N. 13. Sukienka z długim stanikiem.

Do gładkiego stanika przyszywa się najpierw spodniczkę 26 cent. długą a 150 cent. szeroką, którą pokrywa wolant 23 c. szeroki, mający 186 cent. obwodu, oszyty u dołu 4 cent. szerokim haftowanym szlaczkiem. Stanik zapięty z tyłu na guziki, ozdobiony jest z przodu 10 cent. szerokim pasem w fałdy ułożonym i haftem z jednej strony oszytym, który naśladuje skośne zapięcie. Szarfa ułożona z kawałka materyału 25 c. szerokiego, zapięta z tyłu kokardą.

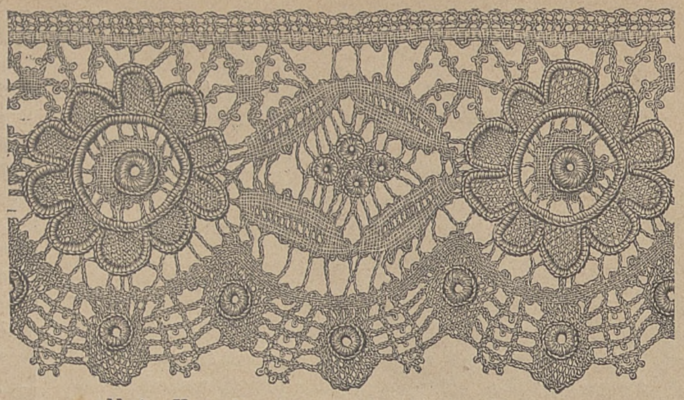
N. 14. Sukienka ze spódniczką à la paysane.



N. 5. Ręcznik ze szlakami i koronką. Patrz ryc. 4.

go z przodu zaszytemi zakładkami, dodana jest zwierzchnia spódniczka 45 cent. długa, mająca 300 cent. obwodu, którą w górze przemarszcza się siedem razy, w odstępach 3/4 cent. i wszywa w prosty pasek razem z kliniasto w górze ściętą spódniczką podszewkową, mającą 125 cent. dolnego obwodu. Do sukienki z gładkiego wełnianego materyału; szarfa 32 cent. szeroka, była z etaminy w deseń różnokolorowy, a w ząb zakończony kołnierz i mankiety z aksamitu w ciemniejszym odcieniu.

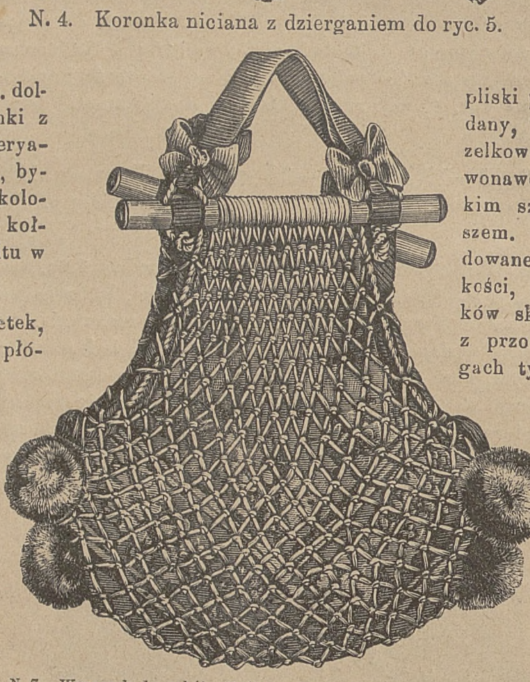
N. 20. Kwadrat do serwetek, na poduszki i t. p. Haft na płótnie domowej roboty pelą lub filozelą w kolorze ponsowym, zielonymi i żółtawo orzechowym. Odpowiedni szlaczek na ryc. 34 w N. 36.



N. 4. Koronka niciana z dzierganiem do ryc. 5.



N. 6. Ręcznik ze szlakami i frendzlą. Patrz ryc. 15.

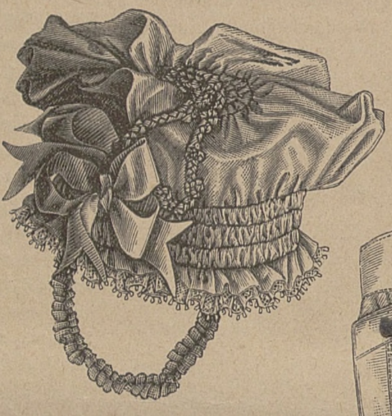


N. 7. Woreczek do robót. Krój i wzór siatki na arkuszu N. XVII, fig. 71—72.

N. 21—22. Kamizelkowe ubranie stanika.

N. 21. Kamizelka z riuszą podniesioną w górę.

Zrobiona była z etaminy żółtawej, haftowanej w rzucik czerwony i niebieski, na foremce ze sztywnego muślinu, mającej 28 cent. długości, 14 górnej, 11 dolnej, a 5 cent. szerokości na wcięciu w pasie. Środek foremki pokrywają dwie 3 cent. szerokie płaskie kontrafałdy z etaminy, u dołu oszyte jedną riuszą, w górze zakończone poprzecznie naszytemi plisami z etaminy 2 cent. szerokiemi, dawanemi naprzemian z 3 cent. szerokiemi riuszami z koronki. Brzegi kamizelki oszyte są dwoma 3 i 4 cent. szerokiemi plisami z etaminy, stanowiącemi zarazem kołnierz, z których wewnętrzne mają 50, zewnętrzne 56 cent. długości, są podgarnirowane riuszą. Końce plis stanowiące kołnierzyk stojący, zapięte są z tyłu na guziki.



N. 8. Birecik dla chłopczyka.



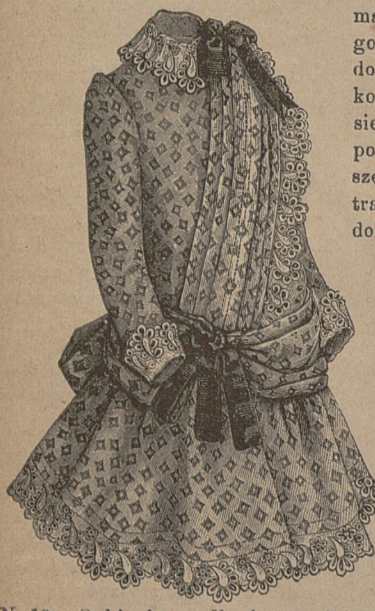
N. 9. Kapelusik dla dziewczynki.



N. 11. Koszula dzienna z kolorowym gorsem. Krój stanu jak do r. 10; krój kołnierza patrz fig. 61.

N. 10. Koszula z tyłu zapinana. Krój na arkusz. N. XI, fig. 50—58.

N. 12. Koszula z pikowym gorsem. Krój kołnierza i mankietów N. XII, f. 59-60. Krój stanu jak do ryc. 10.



N. 13. Sukienka z długim stanikiem dla dziewczynki lat 6—8.

N. 22. Kamizelka ze stojącym kołnierzem.

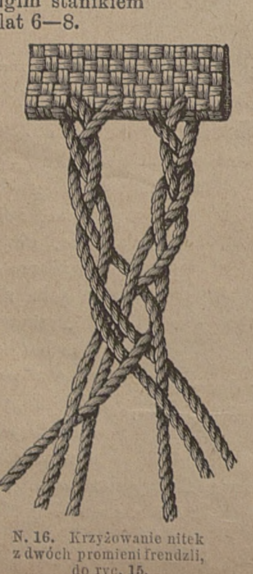
Podstawę kamizelki stanowi pasek 3 cent. szeroki a 42 długi, z materyi kremowego koloru, podszyty sztywnym muślinem, pod którego brzeg górny podszyta jest dwoista skośna, 3 1/2 cent. szeroka a 80 cent. długa pliska z kanwy żółtawej. Do pliski przyszyty jest kołnierz wykładany, 7 cent. szeroki i części kamizelkowe, zrobione z etaminy czerwonawo bronzowej i naszyte wąskim szafirowym jedwabnym sutaszem. Części kamizelkowe przyfałdowane w górze do 3 cent. szerokości, zrobione są z dwóch kawałków skośnych 18 cent szerokich, z przodu 48 c. długich, a w brzegach tylnych skośnie zapiętych do 40 c. Końce kamizelki ściśle przyfałdowane, na wcięciu w pasie schodzą się ze sobą.

N. 23-24 i ryc. 18-19. Serwetka. Siatka gipiurowa i robota krzyżowa.

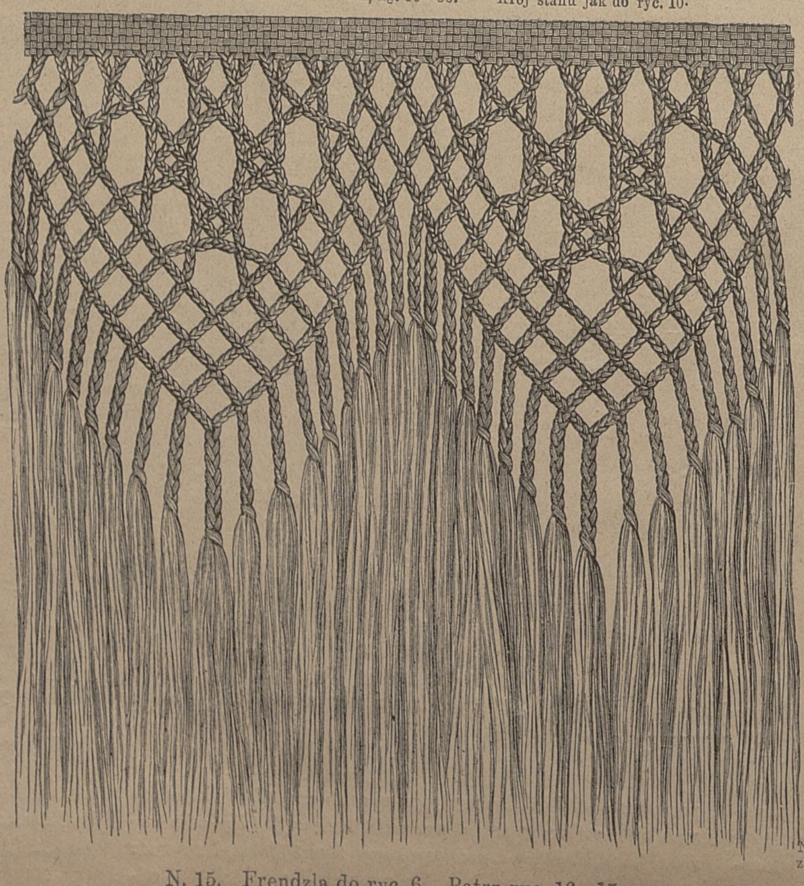
Serwetka mająca 84 c. w kwadrat, razem z 14 c. szeroką koronką siatkową, składała się z rozmaicie wyszytych kwadratów siatkowych, wprawionych w tło z kanwy płóciennej. Na kwadraty trzymające 12 cent. wzdłuż i wszerz, wycina się w tło otwory odpowiedniej wielkości, tak, ażeby pasy przedzielające kwadraty miały po 5 cent. szerokości. Stosowny deseń do wyszycia kwadratów dajemy na ryc. 18 i 19, a szlaczek do wyszycia ściegiem krzyżowym i pojedyńczym, bawełną ponsową i niebieską na tle z kanwy płóciennej, na r. 23. Brzegi wyciętego tła trzeba wązko obrąbić, a na obrąbku wyszyć rząd krzyżyków. Deseń krzyżowy trzeba tak dopasować, ażeby, jak na r. 23, gwiazdy wypadały na skrzyżowaniu pasów i naprzeciw środkowych punktów w kwadratach. Koronkę 14 c. szeroką, której deseń odpowiada wyszyciu kwadratów, nad-



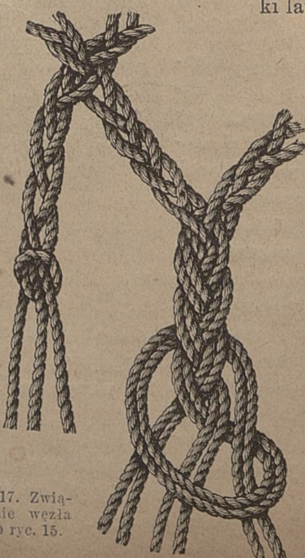
N. 14. Sukienka dla dziewczynki lat 6—8.



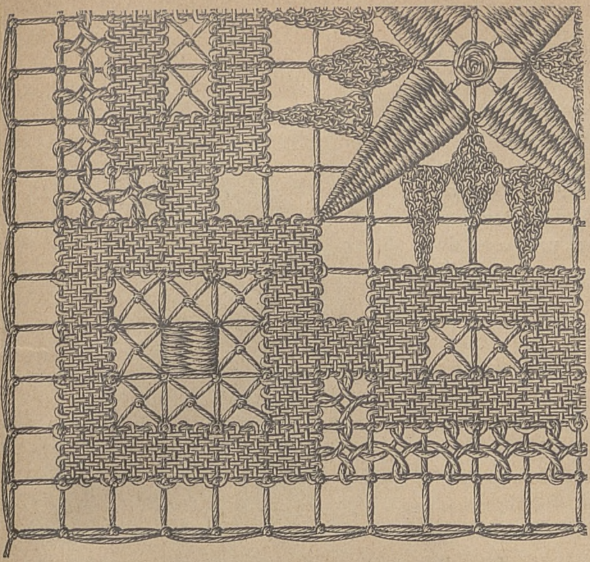
N. 16. Krzyżowanie nitek z dwóch promieni frendzli, do ryc. 15.



N. 15. Frendzla do ryc. 6. Patrz ryc. 16—17.



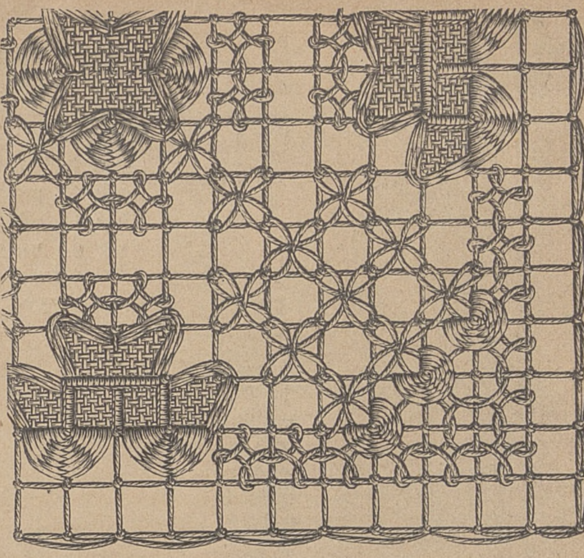
N. 17. Związanie węzła do ryc. 15.



N. 18. Wyszycie na siatce, do ryc. 23.



N. 20. Kwadrat haftem płaskim.



N. 19. Wyszycie na siatce, do ryc. 23.

marszcza się tylko na rogach. Inne stosowne desenie na siatkę i szlaki dobrać można w Tyg. Mód z r. bieżącego i przeszłego.

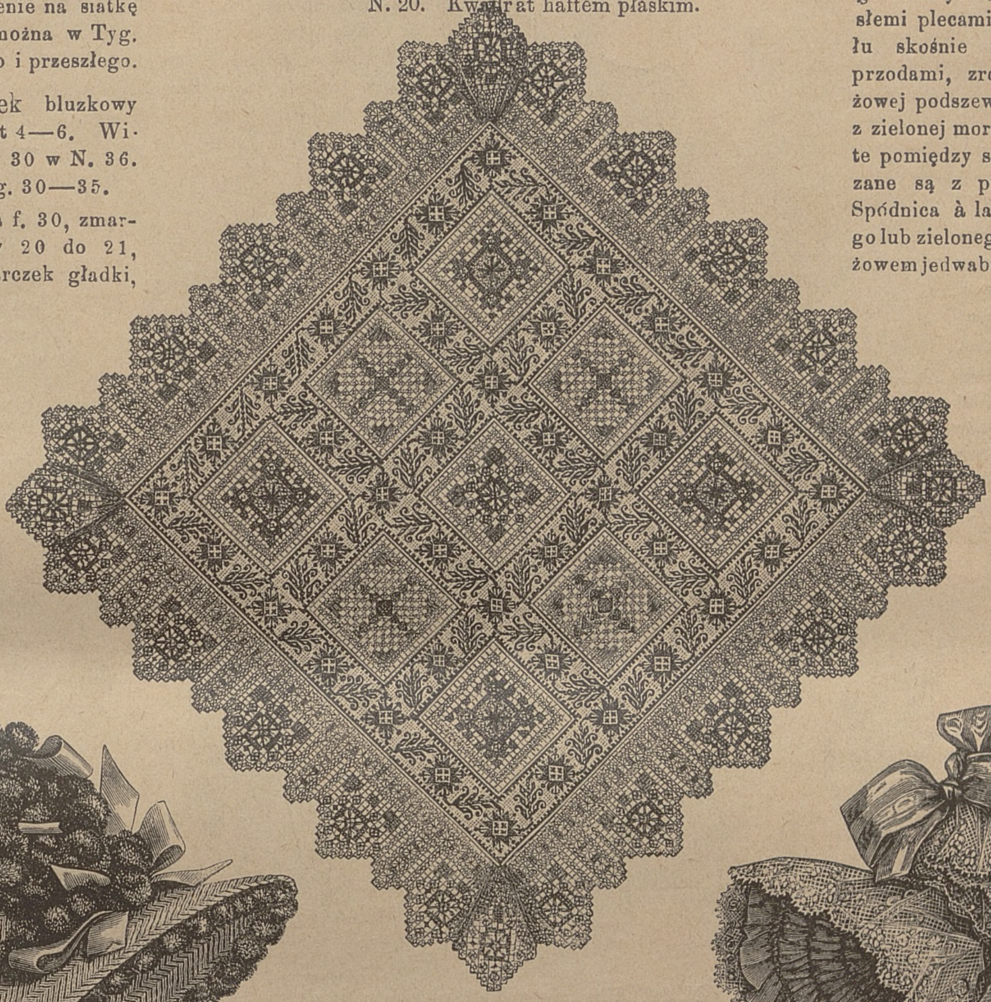


N. 21. Kamizelka z riuszą koronkową.

N. 31. Fartuszek bluzkowy dla dziewczynki lat 4—6. Widok pleców na ryc. 30 w N. 36.

Krój N. VII, fig. 30—35.

Przód fartuszka f. 30, zmarszczony od liczby 20 do 21, wszywa się w karczek gładki, wyszyty rzędami ściegu cierniowego, od 19 przez 20 do 21, a dolną część przodu, do której model kroju i miary dajemy na fig. 32, marszczy się, także wszywa w pasek 2 cent. szeroki i przyszywa do części górnej. Plecy przymarszczone tylko przy wykroju górnym, związane są na wcięciu w pasie na szarfy 71 cent. długie a 10 szerokie, przyfałdowane do 3 c. szerokości i wszyte między szwy boczne. Rękawy są u dołu przymarszczone i wszyte w pasek 2 cent. szeroki, ogarnirowany falbanką haftowaną, 3 cent. szeroką, która naszyta jest gładko na przyszyciu spódniczki koło karczka, przy wykroju szyi i przy kieszonkach.



N. 23. Serweta siatkowa.



N. 25. Kapelusz ogrodowy.



N. 26 Kapelusz ogrodowy.

N. 32. Ubranie z kaftaniczkiem bez rękawów.

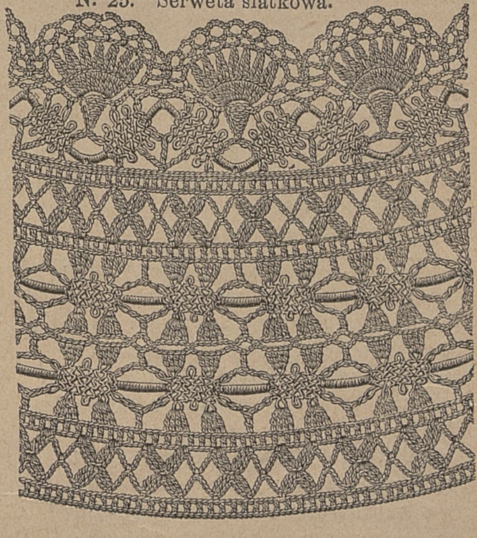
Ubranie to stosowne na zabrania towarzyskie we własnym domu, na modelu odrobione było z etaminy wełnianej białej i zielonej na podszewce z materyi różowej. Stanik gładki, obciśle przystający do figury, dochodzi tylko do wcięcia w pasie, a dalej dopełniony jest plisowaną baskiną. Zapięcie staniks pokrywa żabot marszczony, zakończony u dołu wysiepaną frendzlą. Na obcisłych spodnich rękawach z materyi różowej, dane zwierzchu szerokie bufiaste rękawy, spuszczone na długi mankiet w połowie z białego i zielonego materyału. Kaftanik z obcisłemi plecami, a luźnemi, do dołu skośnie rozchodzącemi się przodami, zrobiony jest na różowej podszewce. Długie szarfy z zielonej morowej wstążki, wszyte pomiędzy szwy boczne, związane są z przodu na żabocie. Spódnica à la paysane z białego lub zielonego materyału na różowem jedwabnem podwleczeniu.



N. 22. Kamizelka z kołnierzem wykładanym.

N. 35. Strojne ubranie ranne. Plecy zobaczyć na fig. 78. Krój stanika podług formy do ryc. 3—4 w N. 32.

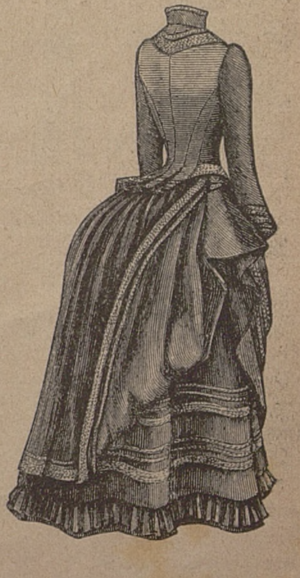
Model do ryc. 33 odrobiony był z etaminy białej w paski, a do fig. 78 z szafirowego wełnianego materyału; obadwa ubrane koronką białą wełnianą, 10 c. szeroką. Pod obcisły długi stanik i pod spódnicę daje się kolorową jedwabną lub satynkową podszewkę. Spódnica z przodu otwarta, mająca 330 cent. szerokości, jest w górze w grupy przemarszczana i do brzegu stanika przyszyta; grupy te przedzielane odstępami, mają z przodu po 5, z boków po 7, a z tyłu 12 c. szerokości; przy przemarszczeniach przecięte są otwory do przewleczenia wstążki 6 cent. szerokiej, z przodu na kokardę z długiemi końcami związanej. Spódnicę zapina się z przodu przez całą długość na haftki przykryte marszczoną, wachlarzowo naszytą koronką, którą oszywa się także raz lub dwa razy spódnicę u dołu. Do negliżu ryc. 33, dane są wązkie półdługie rękawy, raz koronką oszyte, a do ubrania fig. 78, rękawy szerokie puszczone, dwa razy koronką ogarnirowane.



N. 27. Robota szydełkowa na karczek i rękawki do koszuli.



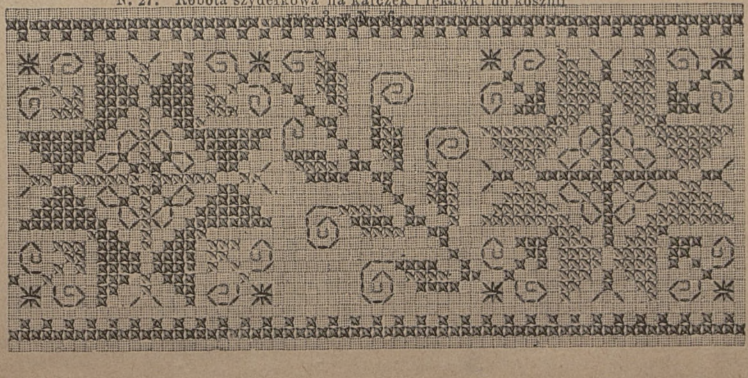
N. 28. Przód do ryc. 22 i 36 w N. 36.



N. 29. Plecy do ryc. 19 w N. 36.

N. 34 i r. 35 w N. 36. Suknia z bluzkowym stanikiem. Forma na arkuszu z krojami N. X. fig. 45—49.

Ryc. 34 w bieżącym i ryc. 35 w N. 36, przed-



N. 24. Szlak do serwety ryc. 23.

tego pomiędzy szwy boczne spódnicy. Na tylną draperyę 105 cent. długą, daje się dwa bryty materyału, które w górze marszczy się w środku, a po bokach składa w głębokie fałdy. Z lewego boku spuszcza się bryt prosto do dołu, a z prawego trochę podpina sposobem wskazanym na ryc. 35. Do przodów bluzki przykrojonych razem z ranwersem podług fig. 46, dodaje się plastron, z jednej strony przyszyty, z drugiej na haftki zapinany, przykrojony podług fig. 45 z podwójnego materyału. U dołu daje się obrąbek 2 cent. szeroki, w który nawłóczy się tasiemkę do ściągania bluzki. Od T do Z wszywa się do wykroju szyi kołnierz marynarski i łączy go z górnym brzegiem ranwersa do krzyżyka. Rękawy u dołu zostawia się gładko od W do X, a dalej marszczy aż do Y i przyszywa do mankieta.



N. 30. Ubranie dla chłopczyka lat 3—5. Krój i opis na arkuszu N. III, fig. 11—15.



N. 31. Fartuszek dla dziewczynki lat 4—6 Krój na arkuszu N. VII, fig. 30—35.

młodych mężatek; model do ryc. 34 odrobiony był z perkalu mienionego szafirowo z ponsowym w wązkie paski ponsowe, a do ryc. 35 z mienionego wełnianego materyału. Obadwa naszyte były wązkim białym sutaszem. Na podszewkowej spódnicy naszyty wolant 75 cent. szeroki, ułożony w 12 cent. szerokie kontrafałdy, na który zachodzi z przodu krótka draperya, ułożona z poprzecznie obróconego bryta 125 cent. długiego a 90 szerokiego, sfałdowanego do 30 cent. długości i wszy-

zdobione szlakiem szydełkowym, podszywa się także dla mocy listewką. Próbkę roboty szydełkowej z mignardisą medalionową, dajemy w naturalnej wielkości na ryc. 27 w N. 35; formę karczka wyciąć trzeba z papieru i do niej dopasować robotę.

(*D. n.*)



N. 32. Ubranie z kaftaniczkiem bez rękawów.

Opis do N-ru 36.

N. 1—2. Koszula z prostym wykrojem dla niedorosłej panienki. Krój na dodatku z formami N. IV, f. 16—18.

Na fig. 16 dajemy formę przodu i pleców stanu do dziennej koszuli, którego brzeg górny zmarszczony od *s* do *t* wszywa się w karczek, od *s* przez *t* do *u*. Rękawek wszywa się do stanu od *r* do *u*, a do karczka od *u* do *o*. Tak na karczku jak i na rękawkach dany jest wązki haft, do którego deseń na ryc. 1; oprócz tego do brzegów przystębnowany jest wązki szlaczek haftowany. Koszulę zapina się na ramionach, do czego pentelki daje się od spodu przy części tylnej, a guziki przyszywa zwierzchu do części przedniej.

N. 3. Koszula dzienna z okrągłym wykrojem, dla niedorosłej panienki. Krój stanu fig. 16, a krój karczka i rękawów fig. 19—20. Robota szydełkowa na karczek ryc. 28 w N. 35.

Potrzebna zmiana formy stanu do wykroju okrągłego, oznaczona jest na fig. 16 cienką linijką. Stan zmarszczony trzeba wstębnować w wązką podwójną listewkę, do której przyszywa się karczek szydełkowy, krótkie rękawki o-



N. 33. Strojny negliż. Plecy patrz fig. 78.



N. 34. Suknia z bluzką. Krój na arkuszu N. 10, fig. 45—48.